

AS



Nr. 35

28 SIERPNIA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

POŻEGNANIE
M O R Z A

Deanna Durbin.

Kiedy dzwony katedry św. Jana ogłaszały wybór na króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego, miał pomazać Boży zgoła inną troskę, niż królowanie. Rozjeżdżał się wiedeńskim facetonem po Warszawie i zbierał podpisy dwunastu medyków, stwierdzając, że strój polski i sarmacka fryzura zastrzeżona w pacach conventach szkodziłyby jego zdrowiu.

Potem w gronie dam wytwornych, przemierzał przed lustrem strój koronacyjny — hiszpański i słuchając płochych rad, układał w najwymyślniejsze pozy najjaśniejszą figurę. Za złe to brano Poniatowskiemu, że uczył się, jak aktor swojej królewskiej roli i to przed tak płochym i swawolnym audytorem. Król był młody. Aplauz uroczego jury oszłomił go zlekka, jak zapach wonnych spirytusów, takowych przedziwnych, którymi pachniały damy z arystokracji, nie skąpiące okłasków i uśmiechów dla najmilszego z koronowanych amantów.

Długo jeszcze wypominać mu będą, że „Jam Sobieski, służąc w regimencie muszkieterów za Ludwika XIV i pięknoscią postaci i wykształceniem zwróciwszy na siebie oczy księżny de Longueville, powrócił do Polski i prócz języka i oświecenia, żadnych obcych zwyczajów nie przywiózł. On to w zbroi pod Chocimem walczył, a w niebieskim kontuszu pod Wiedniem. Działynski w polskiej sukni posłował do Elżbiety, królowej angielskiej. W polskim stroju Jerzy Ossoliński czynił wjazd wspaniały do Rzymu” itd. itd...

Poczytano za rozrzutność, za lekkomyślność płaszczy hiszpański, brabanckie pleureisy, srebrzystą perukę. Zapomniano tylko, że Karol angielski jechał na koronację w strzemionach, zawieszonych na czterystu dwudziestu jeden brylantach, że Henryk VIII, jadąc do Toweru, miał suknię przetykaną złotem, napierśnik wysadzany brylantami i łańcuch z olbrzymich rubinów, że Ludwik XIV miał w swych pokojach złotem haftowane karjatydy, zapomniano, że dwór Sasów składał się z 82 pokojowców i 26 pażów, 100 sług, rzemieślników, kapeli królewskiej, straży przybożnej, gwardji szlacheckiej, gwardji szwajcarskiej, przekraczających tysiąc ludzi, łowczych, koniuszych, kuchmistrzów, błaznów, fraucymeru, uczonych, artystów, 13 ministrów, 41 generałów i 51 pułkowników, że za pieniądze polskie wznosił Sasi swoje zamki z bajki Zwinger, Pilnitz, Moritzburg, Otzock i Königstein. — Darowano Sobieskiemu, jego róże i topole, Marysięnkę i paradne łóże ze smyrneńskiego złotego brokatu, na którym turkusami wyhaftowano wersety z Koranu, darowano Ossolińskim, że kiedy jeździli do Rzymu w konkury do siostrzenic papieża, wysypywali drogi rzymskie solą, aby na nich urządzić polską sanie, darowano Czartoryskim, że jeździli z Tatarami, Arabami, wielbłędami w setkę pojazdów i landar.

On tylko oskanżony został przed historją za marnotrawienie narodowego dobra.

Za złe brano Najjaśniejszemu Panu, że pozwał się Repninowi poprawiać w kadrylu, choć Marcel, twórca menueta uważał króla polskiego za najlepszego ze swoich uczniów.

Miano do niego żal za poetów, artystów, malarzy, za Łazienki i zato, że go bardzo kochały kobiety.

Miano do niego żal za piękne oczy i ruchy pełne gracji, za cudzoziemców i tancerki zato, że był tylko stołnikiem, zato, że się odważył zostać królem.

Miano do niego żal za Targowicę i zato, że czekał na audjencję w przedpokojach Stakelberga i zato, że oddał swoją kochankę Repninowi, gdy tego wymagała racja stanu, i zato, że nie przystąpił do konfederacji barskiej, mówiąc do księcia Józefa zgoła nie królewskie słowa: „Wpierw trzeba zapłacić długi twoje i moje”.

A już nie przebaczone mu nigdy, że przyjął tron z rąk kochanki. Serce zna powody, o których nic nie wie rozum — mówi Pa-



scal. Serce króla polskiego znało również powody, o których nie wiedziała polska racja stanu. Caryca nie była wtedy jeszcze heterą, megerą, wampem, demonem i mężem stanu. Była śliczną, dwudziestopięcioletnią kobietą, kiedy ją poznał i pokochał. Miała rozum, wdzięk, słodczy uśmiechu, dwoje prześlicznych, szafirowych oczu, wspaniałe czarne warkocze, małe nóżki i białe ręce. I była pierwszą w jego życiu kobietą.

Nie mógł i nie chciał wiedzieć, że usta ukochane nazywają go pogardliwie „woskową lalką” i że przed koronacją dyplomaci otrzymali tajny rozkaz: „Jeśli się uda, niech ukoronują Poniatowskiego, o ile nie, niechaj Kayserling zrobi królem Adama Czartoryskiego”.

Udało się, a król polski przyjął koronę, jak hojny dar miłości.

Nie wiedział i nie chciał wiedzieć, jaką drogą idzie ukochana młodości. Ze caryca nie wstydzi się swoich faworów, że nazwiska jej amatorów zna cała Rosja, Orłow, Potemkin, Zubow, Łanskoj, Jermotow — wszyscy słyszeli o nich, ale w lekkomyślnej i frywolnej stanisławowskiej Warszawie, nie wolno było przy królu mówić nic ubliżającego o carycy, która w najjaśniejszych wspomnieniach nosiła słodkie imię Catherine.

Szeptano więc sobie tylko na ucho, że amanci pełniący służbę przy carycy, biorą pensje rządowe, że imperatorowa z sekretarzem swoim mówi bez zenady o swoich faworytach, że dla aktualnego amanta jest zawsze przygotowany specjalny apartament w pałacu. Ze Suworow, wchodząc do pokoju, pada przed nią na kolana, że tylko Potemkin oparł się jej czarom i przeniósł przyjaźń carowej nad fawory kochanki, a dzięki temu caryca rzuciła Rosję, a Potemkin carycę. Potemkin trzyma w mocnych rękach nie tylko wodze wielkiej polityki, ale na jedwabnych sznurach prowadzi amantów. Ten, kto się jemu oprze, nie przekroczy nigdy progów sypialni carowej. Najdłużej w łaskach utrzymał się młody generał Łanskoj, bo „Łanskoj oddał się wyłącznie swej służbie, żył tylko dla swego obowiązku”, co mu się zresztą dobrze opłaciło, bo kiedy umarł w 27 roku życia, zostawił 7 milionów rubli.

W wspomnieniu króla polskiego żyła jeszcze ciągle śliczna, wysoka, pełna godności kobieta, którą miał szczęście kochać.

Osnuł swoją miłość tęsknotą, dyskrecją,

milczeniem i zachował ją świeżą w umęczonym i steranym sercu, pomimo wielu miłości i przygód.

Tragedja króla polskiego polegała właśnie na tem, że nigdy uroczą Catherine nie zamieniła się w Katarzynę II. Tu także należy szukać tragedji narodu.

Koronacja była zatem widowiskiem, igrzyskiem dla tłumu, tak, jak dla niego była miłą grą przed lustrem. Wstępował na tron otoczony nienawiścią „familji” tj. Czartoryskich, nienawiścią kobiet, które niedostatecznie kochał, pobłażliwą pogardą Katarzyny i ambasadorów, niechęcią narodu, ironją zagranicy, z fatalną przepowiednią, że król polski, który się nie ukoronuje w Krakowie, nie zostanie pochowany na Wawelu i nie umrze w Polsce.

Tańczył i kochał, korespondował z filozofami, skupował rzadkie sztuchy, sprowadzał malarzy z Włoch i Francji, pisywał projekty wierszy dla poetów, fabrykował porcelanę, wydawał gale i asamble, szlichtady i festiwale, uwodził kobiety i gromadził uczonych na obiadach czwartkowych, grywał w faraona i tryszaka, wydawał zamaż siostrzenice, szukał sobie bez powodzenia żony wśród pierwszych dynastji Europy, przyjaźnił się z Wolterem, założył szkołę kadetów, Komisję edukacyjną i malarnię królewską, kochał sendecznie zatabaczonego i źle ubranego biskupa Naruszewicza i opracowywał z nim razem historję Polski, ratował, jak mógł Trembeckiego, genialnego poetę i sowizdrzała, przebaczał zdradę i ucieczkę na dwór pruski Krasickiemu. — Umiął być wielkim i oświeconym w sprawach nauki i literatury i okrzyk, który się wyrwał Trembeckiemu: „Lepiej pisać dla piętnastu Ludwików, niż dla jednego Stanisława Augusta”, jest hołdem, złożonym wysokiej kulturze Stanisława Poniatowskiego.

I tak wśród rzeczy błahych i lekkomyślnych, dokonywał rzeczy wielkich i ze znawstwem prawdziwego mecenasa sztuki budował sobie i swojej epoce jedyny i najpiękniejszy pomnik: Łazienki.

Stworzony na artystę, człowieka nauki, ministra oświaty i protektora poetów, jakże mógł zostać mężem stanu i żołnierzem, w tej epoce, która była sztuczną oranżerją najkapryśniejszych charakterów, wyłęgarnią rokokowych kurcząt? Życie ówczesne stało całe pod znakiem głośniejszej aferty wydrwigorza Francuza Ponseta, który wylądował od Eligjusza Prażmowskiego 200.000 złotych na wyłęgarnię kurcząt. Założyli dom wielki, urządzili piec, zakupili miljon jaj, które się wszystkie w cieple zepsuły.

W zatrutym cieple, płynącym od upadłych dworów Ludwików, w błękitnym czadzie pływającej bengalskimi fajerkami Europy, w odurzającym zapachu perfumowanych róż rozkładała się powoli epoka rokoka frywolna, lekkomyślna, śliczna, stworzona z obłoków pudru, muślinu, gorsetów à la Pompadour, kanarkowych fraków; szpad z trzęsidłami „z brylantowej stali” i kaprysu Marji Antoniny.

W zamęcie i chaosie europejskiej polityki, wśród intryg, podstępów i kłamstw, między Targowicą a Barem, między Konstytucją 3-go Maja a pomrukami rewolucji francuskiej „panował” król tytularny, król z imienia, bez ziemi i narodu, zdany na łaskę tych, co go ukoronowali i na nienawiść tych, którzy przygotowywali jego abdykację.

A w dni świąteczne i dni powszednie majestat jego jaśniał z całą okazałością, taką, jaką do dziś lśni na portretach Bacciarelli'ego. Miał frak aksamitny à la Pompadour, bortami złotem obszyty, guziki wokół brylantowe i takąż gwiazdę na środku. Białe ałas złoto haftowane kamizelki spływały w tonie z żabotem białym jedwabnym, w którym tkwi szpilka złota i misterny zegarek wielkości srebrnika. Spodnie białe racymorowe, także pończochy jedwabne i

Dokończenie na str. 6-tej.

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURIER” S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ

KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.

KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2,50

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamy 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 35

Niedziela, 28 sierpnia 1938

Rok IV

ASY NUMERU 35-GO:

KRÓL STAS.

Z życia króla Stanisława Augusta.
Szkice Hanny Kłosińskiej.
Str. 2.



SMAK NORWEGJI.

Obrazki z ojczyzny Roalda Amundseny, najbardziej północnego kraju Europy.
Str. 4—5.



ZYWE PUŁAPKI.

Do największych dziwów przyrody należą rośliny owadożerce, których życie zostało dopiero niedawno dokładnie zbadane przez przyrodników.
Str. 11—12.



Nowa ankieta „Asa”:

KTO ZACZAŁ

Brak obiektywizmu w rozmowach i wprowadzanie do dyskusyj krytycznego subiektywizmu powoduje sprzeczki, których ludzie kulturalni unikają w małżeńskim współżyciu.
Str. 14—15.



DROGA WOLNA!

Oto wezwanie, któremu stają się posłuszni przechodnie i kierowcy pojazdów w momencie, gdy na ulicy pojawi się: karetta królewska, straż pożarna, karetka pogotowia ratunkowego, procesja itd.
Str. 16—17.



PIÓRO I CYGARO.

Kartki z życia pierwszych polskich emancypantek. Szkice literackie H. Bartoszek-Zastawniakowej.
Str. 19—20.



Przebój muzyczny „Asa”:

IDEALNY MAŻ.

Piosenka-kuplet. Słowa i muzyka Olgi Hańczowej.
Str. 22.



FISHING.

O sporcie wędkarskim, który w krajach anglo-saskich uprawiany jest chętnie również i przez piękne panie.
Str. 25



Nowele. — Życie towarzyskie i artystyczne. — Kącik filatelistyczny. — Moda kobieca. — Kosmetyka. — Humor. — Rozrywki umysłowe. — Nowe książki. — Na scenie. — Program radiowy.



Fot. Atlantic.

Gigantyczna tama „Boulder”, wzniesiona w Black-Canyon na rzece Colorado, największa budowla, jaką stworzyły ludzkie ręce, jest ulubionym miejscem wycieczkowem turystów amerykańskich. Utworzone przez tamę jezioro, również największy tego rodzaju sztuczny basen wodny, rozciąga się na przestrzeni 200 kilometrów i jest szerokie na 70 kilometrów. Wody jego mają ożywić pustynne obszary Arizony i Kalifornii w ciągu najbliższych 5 lat.

Smak NORWEGJI

Ani geogra-
 fja, ani pilne
 przyglądanie
 się mapom nie po-
 wiedziały nam, że
 po minięciu grani-
 cy szwedzko-nor-
 weskiej zmieni się
 raptownie krajo-
 braz. Na mapie
 brzeg morza zaró-
 wno w Szwecji jak
 i Norwegji tak sa-
 mo jest pofaldo-
 wany i wyrzeźbio-
 ny sekkami zało-
 mów, zakamarków,
 cypli i zatoczek,
 które tworzą fjor-
 dy. Ale w rzeczy-
 wistości jest ol-
 brzymia różnica
 pomiędzy temi wy-
 brzeżami. Nie byli
 byśmy się spostrze-
 gli, że po minięciu
 Kornsjö pociąg po-
 pisał biec po ziemi
 norweskiej i że prze-
 kroczyliśmy już grani-
 cę, gdyby nie rap-
 towna zmiana wi-
 doków defilujących
 przed lustrzanemi
 szybami okien wa-
 gonu. Granica bo-
 wiem między kra-
 jami skandynaw-
 skiemi nie jest od-
 dzielona linjami
 fortyfikacyj, ani
 kontrolą najroz-
 maitszych funkcjo-
 narjuszy, którzy

pilnie badają zarówno paszport jak i bagaże podróżnego, jak-
 by, szukając pretekstu, umożliwiającego niewpuszczenie cudzo-
 ziemca w głąb kraju. Granice w Skandynawji przekracza się
 niepostrzeżenie; jakiś urzędnik w marynarskiem ubraniu oglą-
 da paszporty, a drugi przebiegając szybko przez wagon zapy-
 tuje podróżnych, czy nie mają towarów do oclenia. Pociąg zaś
 nie zatrzymuje się ani na chwilę dłużej na stacji granicznej.

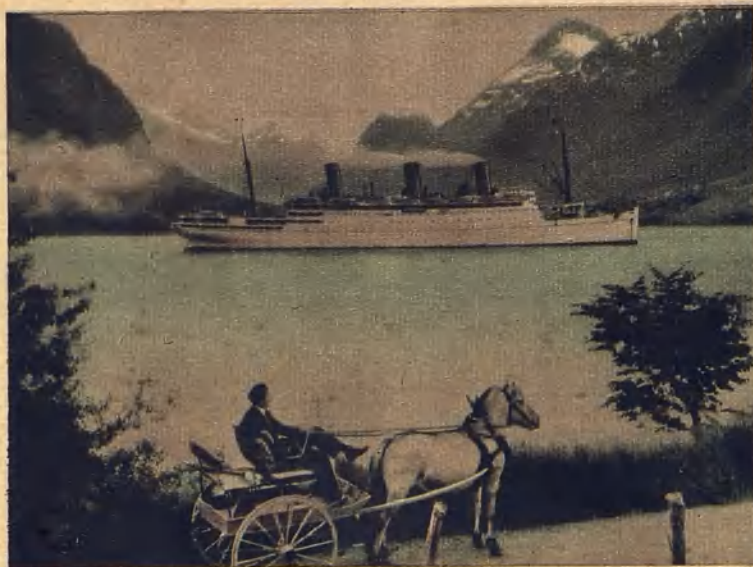
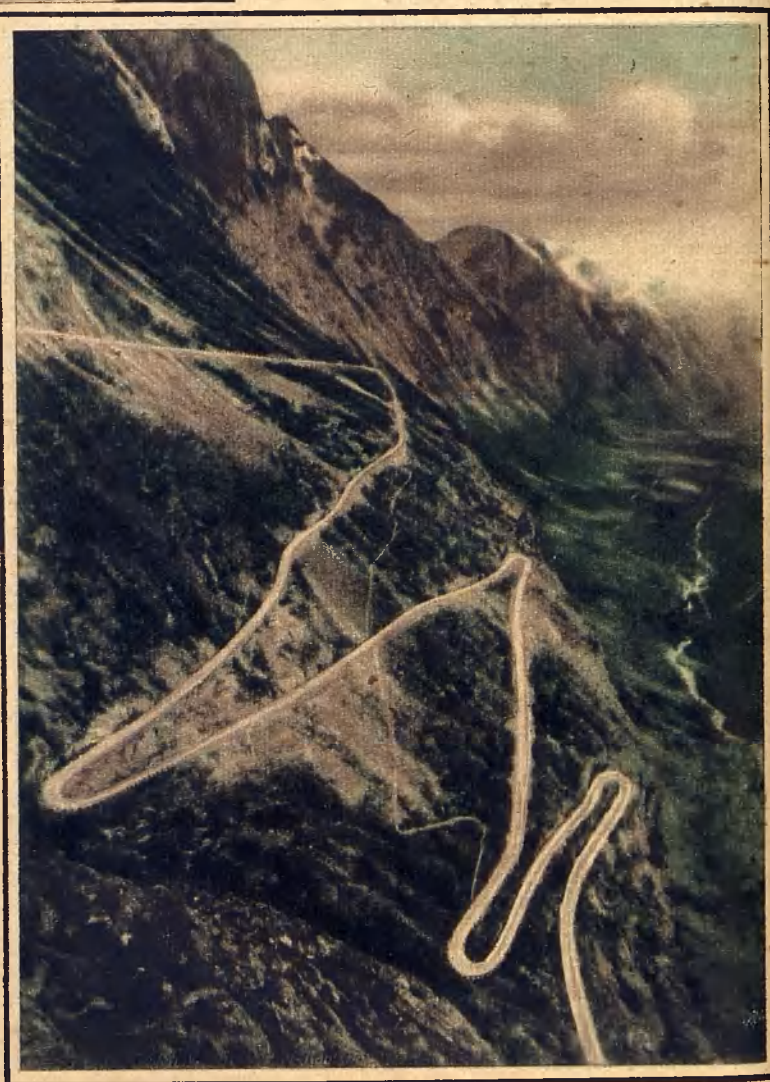
Strome brzegi fjordów, lasy tłoczące się aż do samego niemal
 toru kolejowego, rzeczułki wypełnione splawianem drzewem
 i czerwone domki otoczone soczystą zielenią — to jest Norwe-
 gja. Pola są jeszcze zupełnie zielone daleko do żniw, gdy tym-
 czasem w Szwecji dawno zapomnieli już o tem. I niebo jest
 inne. Pomimo słońca przyświecającego mocno, niebo zachowało
 swój blado niebieski kolor. Niebo jest przeźroczyste. Brzmi to
 paradoksalnie, jednak określa doskonale zimny niebieski kolor,

Poniżej od lewej: Duży statek wycieczkowy na fjordach. — Łupy
 wyprawy wielorybniczej w porcie rybackim.



Dziewczęta w strojach ludowych.

Na prawo: Wspaniała serpentyna górską
 Trollstigveien — Isterdal — Romsdal.



brzeg. Morze zaś jest spokojne. To wiatr, a nie fale marszczy jego powierzchnię.

Na stacjach jest pełno ludzi przypatrujących się przejazdowi międzynarodowego pociągu, który wali do stolicy. Dziewczęta w szerokich, długich spodniach spacerują osobno trzymając się za ręce, chłopcy zbici w gromadę przypatrują się otoczeniu, paląc w skupieniu papierosy. A potem coraz bardziej zaczynają się zagęszczać domki kampingowe i wille, coraz większy ruch samochodowy jest na szosie, a fjord błyszczy od białych punkcików żagli. Wiemy, że nareszcie dojeżdżamy do Oslo. Tego Oslo, które jak Neapol rozłożyło się na spadzistym, wygiętym brzegu morskim. Na dole śpiewa monotonna melodia dnia powszedniego portu, w górze jest dostojny park, żwirowane aleje i pałac królewski z wartą umundurowaną w stylu przypominającą bersaljerów.

Teraz jest południe, a my leżymy na piasku plaży w Bygdoey i myślimy o Norwegii. Otacza nas gwar rozmów młodych, doskonale zbudowanych, jasnowłosych chłopców i dziewcząt. Motorówki śmigają ostro po zatoce, a senne żagłówki pchane delikatnym powiewem wiatru płyną ku głębokim czeluściom skalistego fjordu. Jeśli obrócimy nasze twarze ku miastu, to ponad ceglakami domów widzimy zielone, zalesione gęsto wzgórza. To jest Holmekollen-Mekka narciarzy całego świata. Stąd na podbój tras biegów narciarskich i skocznicy całego świata wyruszają co roku norwescy chłopcy, aby zdobywać tytuły mistrzowskie dla swej ojczyzny. Co roku wyruszają do Niemiec, Szwecji, Finlandji, czy Szwajcarii i co roku przywożą wraz z pucharami tytuły mistrzów.

Ci norwescy narciarze oklaskiwani przez publiczność Europy są w prostej linii spadkobiercami sławy wielkich Wikingów. Opodal plaży w surowym, podobnym swemi liniami do kościoła luterńskiego budynku można oglądać łodzie, na których przed wiekami Wikingowie wyruszali na podbój Normandji i Szkocji. Dzisiaj nie każdy odważyłby się przejechać taką chybotałą łodzią przez lekko wzburzoną zatokę, oddzielającą przystań jachtów od miasta. A Wikingowie prze-

prawiali się na nich przez morze Północne, zapędzając się aż na spieniony wałami fal Atlantyk. Jechali na swych łodziach co prawda nie dla okłasków, ile dla pieniędzy, dla sławy i chwały rycerskiej. Ale przecież nikt również nie oklaskiwał wspaniałego Roalda Amundsena, który na mizernym stateczku „Fram” żeglował wśród lodów bieguny Północnego, a u schyłku swojego żywota nie zawahał się ani na chwilę, tylko ruszył z pomocą rozbitkowi załogi sterowca generała Nobile.

Tacy są już bowiem ci Norwegowie. Napozór spokojni, flegmatyczni, powściągliwi. Kiedy jednak przypatrzeć się im bliżej, to wówczas można odkryć pierwiastki, zmieniające zupełnie sąd o ich mentalności i charakterze. To zapewne życie i ziemia, na której żyją wyrobiły w nich w ciągu wieków odporność, dzielność i nieustępliwość. Bez tych przymiotów dawnoby już zginęli i zmarli. Ziemia jest marna, ziemia daje liche żyto i owies. Klimat jest zdrowy, zimny, wietrzysty. Chociaż wiele jest ziemi, chociaż gęstość zaludnienia jest mała, to jednak na morzu trzeba szukać szczęścia i zarobków. Wikingowie w wyprawach morskich szukali nowych ziem dla swojej ekspansji i zdobywania bogactw. Ich potomkowie rozbudowali do potężnych rozmiarów flotę handlową, której bandery można spotkać we wszystkich portach świata. Po kolosach władających morzami obu półkul: Anglii, Stanach Zjednoczonych i Japonji czwarte miejsce co do wielkości tonażu statków handlowych zajmuje mała, niespełna trzy miliony ludności licząca Nowegja.

Pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców Norwegii pracuje na statkach handlowych tej floty.

Dokończenie na str. 8-tej.



Na prawo: Port rybacki Svalvaet.



Na prawo: Krajobraz zachodniej Norwegii z charakterystycznym kościółkiem na pierwszym planie.



Na prawo: Dziewczęta w strojach regionalnych z okolic północnych.



Na prawo: Renifer na tle pejzażu północnej Norwegii.

Dokończenie ze strony 2-giej.

irzewiczki z różowymi talonami. Pod pachą trzymał kapelusz trójgraniasty płaski, przy boku szpadę w pochwie białej pergaminowej, zaś w lewym ręku tabakierkę emalowaną, z której patrzyła Wenus Tycjanowska. W majestacie dorównywał Ludwikowi XV, w elegancji sprostął nawet Jerzemu IV, którego nazywano „pierwszym gentlemanem Europy”. Cokolwiekby mówiono o kwalifikacjach królewskich Stanisława Augusta, to pewna, że dopełniał on doskonale kondycji, uchwalonej na Sejmie Warszawskim w maju 1764. „Król polski winien być młody, czerstwy, oraz pięknej i dobrej postawy”. Wiedział o tem król, zaczęła chwila obejrzenia się w zwierciadle paryskim o sześciu taflach, była jedną z najmiłszych w dniu. Znał najdokładniej swe awantaje i braki. Wiedział, że wszystko w nim jest odpowiednie, a ułożenie i aparycję stolnika chwalił nawet sam Horacy Walpole.

Przegląda się więc w zwierciadle paryskim o sześciu taflach ten pierwszy kawaler Europy, którego cyfry kreślą na lustrach, posypanych pudrem, zakochane princepsy, ten rozkoszny szalapat, którego ośmiela się nazwać współcześni „koronowanym trzpiotem”, gładszy nad gładsze, kawaler różany, król oświecony i bon viveur zawołany. Jeden z tych, którzy się jawnie przyznają

na spowiedzi, jaką przed trybunałem dziejów odprawia rokoko: „Z nas malowani dziś tylko rycerze, szabla ze złota, koło serca pierze”.

Ogląda się w lustrze i wzdycha żałośnie, z głębi pudrowanego serca:

— Byłbym zadowolony z mej postaci, gdybym był o cal wyższy, miał nogę kształtniejszą, nos mniej orli, biodra niższe, bardziej widne zęby.

Mniejsza o zęby i kształt nosa, ale ten cal wzrostu przydałby mu się bardzo, zwłaszcza — w polityce. Może uwierzylibyśmy wtedy, że był jednak wyższego wzrostu ten król malowany, pachnący, chowany w edredonskich puchach, że wśród tańca i czytania wierszy, stworzył pierwszą Akademię Sztuk Pięknych, Pierwszą Akademię Literatury, Pierwsze Ministerstwo Oświaty, Pierwszą Szkołę Kadetów i Pierwszą w Europie konstytucję, równającą wszystkie stany.

Może uwierzylibyśmy zapewnieniom Molskiego:

„Królu, jeszcze lat dziesięć spokojnego bytu, Przyszlibyśmy do rządu, siły i rozkwitu”.

Gdyby mu danem było to dziesięciolecie,

może byłby umiał nagiąć pychę wielmoży i ciemnotę szlachty i swoje lekkomyślne, giętkie, marnotrawne serce — do wielkiego celu, może umiałby w środkim igrzawie rokokowych hasał odnaleźć wielkość życia, może umiałby z tych obłoków pudru wyratować honor narodu i własną dumę, może nauczyłby się wreszcie wykretów dyplomacji i stoczył walkę nietylko z Imperatrycą, ale i z romantycznym cieniem ukochanej Catherine?

Może dostrzegłby w paryskim zwierciadle czający się za jego plecami cień Białej Damy, która wróżyła klęski Poniatowskiemu.

„Takim jest człowiek, jakimi są jego bogowie”, więc gnie się w dwornym ukłonie Pan Najjaśniejszy w błękitnym fraku à la Pompadour przed porcelanowymi różami rokoka, ostatni herold frywolnej epoki, zdobywając historję, jak niegdyś zdobywał kobiety — uśmiechem ust i zalotnym błyskiem błękitnych oczu, na dnie których kryje się cień tragizmu.

I mimo potępienia, urazy i narodowych żalów, wygrywa walkę o serca pokoleń, bo on jeden z pośród wszystkich królów naszych, złych i dobrych, wielkich i małych, otrzymuje od narodu pieczętliwé i czułe imię „król Staś”, w którym kryje się wstydliwie sympatja i pobożanie dla tego „koronowanego trzpiota”, który był blisko wielkości, a nie umiał jej zdobyć...

Dokończenie ze strony 5-tej.

Jeżeli pomnożymy tę cyfrę przez pięć — przeciętną ilość członków jednej rodziny — to wówczas zdamy sobie sprawę, że ówierać miliona ludzi żyje w Norwegji z dochodów osiągniętych przy pracy w flocie handlowej. A ponadto flocie tej zawdzięczają swoje bogactwo potężni armatorzy Oslo i innych portów norweskich, stanowiący jedną z najbardziej zamożnych warstw ludności. Dodajmy do tego wszystkiego 103 tysiące rybaków oraz ich rodziny (około 400 tys. ludzi) to będziemy widzieć, iż około jednej trzeciej ludności żyje dzięki morzu, czerpiąc z pracy na niem swoje dochody.

To morze, które zupełnie inne jest tutaj na południu w cichych i słonecznych fjordach, a zgoła odmienne na północy, tam, gdzie zimą panuje wieczna noc, a latem białe noce. Latem pustoszeją osady i miasteczka nadbrzeżne. Wszyscy wyruszają na dalekie połowy, które mają zapewnić chleb i kartofle w zimie. Ciężką męczącą pracą trzeba zarabiać na przeżycie. Ziemia jest przecież surowa, nieurodzajna i kamienista. Tylko dla części mieszkańców może ona dać źródło utrzymania. Inni idą do wyrębu lasów, do tartaków i fabryk papieru, do kopalń i zakładów przemysłowych. Życie nie jest łatwe, tak jakby to mogło się zdawać, oglądając fotografie pięknej Norwegji.

Turyści, którzy latem zwiedzają Oslo, a potem walą na fjordy, bądź też zimą podróżują po Fimarku na saniach zaprzęgniętych w renifery oglądają zarówno krajobraz, jak i życie ludzi miejscowych przez wykoszlawiające rzeczywistość okulary. Ale na to są turydami, na to mówią hałaśliwie obcemi językami i kupują masowo „pamiątki z podróży”, aby mogli widzieć zwiedzony kraj w takich barwach jak to widzą, a nie jak jest w rzeczywistości. Zostawmy jednak turystów z czerwonymi książeczkami Baedekerów ich własnemu losowi i gadulstwu przewodników. Zostawmy również plażę z dziewczętami o długich wysmukłych nogach.

A sami skorzystajmy z zaprzyjaźnionego „Chryslera” i jedźmy za miasto. W ciszy lasu szpilkowego rozgrzanego słońcem, lasu, który jakimś cudem wyrósł na kamienistym brzegu fjordu — możemy, patrząc

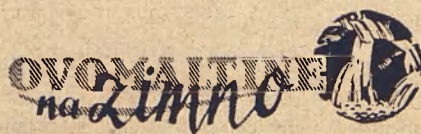


Samo zdrowie!

Jeśli pragniesz, by Twe dziecko tak samo wyglądało, nie zwlekaj dłużej... Daj mu Ovomaltynę! Ovomaltyna doprowadza do ustroju dziecka najszlachetniejsze składniki odżywcze w skoncentrowanej formie w takiej ilości i w takim stosunku, jaki jest wymagany do prawidłowego rozwoju. Ovomaltyna — smaczny napój witaminowy — stanowi budulec krwi, kości i mięśni. **Dobry apetyt, rumiana, pełna buzia, błyszczące oczka, żywość i wesołość** — to skutek odżywiania dziećmi Ovomaltyną.

Dzieci

odżywiane Ovomaltyną,
to dzieci zdrowe i wesołe.



Tylko Ovomaltyna
ma zalety Ovomaltyny!

się na morze błyszczące srebrzyście w słońcu, pytać się naszej towarzyszki jaką jest Norwegja. Nie kiwajmy potakująco i ze współczuciem głową, gdy na początku usłyszemy zapewnienie, że po Paryżu i Londynie, po wesołych latach studenckich i przyjemnych „party” w międzynarodowym towarzystwie — Oslo, nie mówiąc już o Bergen i Stavanger, wydaje się smutnem, bezbarwnem miastem prowincjonalnem. Ale po chwili będziemy przekonani z wielką żarliwością, że Norwegja jest pięknym, czarującym krajem. Że Szwajcaria nie może się równać z jej górami, czy terenami narcisarskimi, południowa Francja zaś nie przypomina ani w jednej dziesiątej części piękności wybrzeży morskich, a co do lasów to nie ma żadnego kraju, chyba może Kanada... Potem się okaże, że Oslo jest przyjemnem miastem, a o ludziach — jak powiada nasza towarzyszka — wiemy sami i to bynajmniej nie rzeczy ujemne.

Czy tak jest naprawdę? Czy nie przesadza pani z zielonego „Chryslera”? Pani ma niestety rację. Przewaga nie jest po mojej stronie. Pani bowiem nie zostanie tutaj, przez lato będzie jeździć żaglówką po morzu, a zimą uganiać na nartach. Mnie zaś zabierze pociąg walący na Malmö i Goeteborg. To jest niesprawiedliwość. Ale szkoda jest każdej chwili czasu, szkoda jest każdego momentu, który skraca rozsmakowywanie się w dziwnym, trochę melancholijnym krajobrazie prowincji, w wesołym gwarze Oslo, w ciszy lasów świerkowych i widokach ze szczytów gór. Nie sprzecajmy się już więcej.

Leżymy na wyprasowanym przez słońce gładzie i patrzymy na blade niebo, po którym snuje się właśnie jakiś samolot o zielonych skrzydłach. Wiatr przynosi szum lasu pomieszany z dalekiem wołaniem syren statków w porcie. Nikt nie mówi. Słowa są niepotrzebne. Wydaje się nam przecież, że w to sierpniowe południe zdołaliśmy odkryć smak Norwegji, dziwnego kraju leżącego zdala od wielkich szlaków europejskich, od wielkich spraw i depesz agencji telegraficznych.

J. Radziwiński.

OLEJEK OLIWKOWY jest nie zastąpiony

dla zdobycia pięknej cery

Jeżeli wyłącznie mydło Palmolive zostało wybrane dla delikatnej skóry Pięciornaczków... z tak znakomitymi wynikami... Pani również powinna skorzystać z dobrodziejstw tego mydła!

Czyż nie jest ono wyrabiane na oleju oliwkowym? A przecież natura nie stworzyła nic lepszego, aniżeli olejek oliwkowy dla udelikatnienia, wzmocnienia i upiększenia skóry. A więc, nie zwlekaj! Wypróbuj Palmolive.

Przy kupnie żądaj wyraźnie mydła Palmolive. Strzeż się naśladownictw!



SHAMPOO PALMOLIVE PIELĘGUJE WŁOSY JAK MYDŁO PALMOLIVE CERĘ

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Nowy sezon już się rozpoczął, bo na półkach księgarskich ukazały się katalogi datowane „1939”. Tak jak zwykle musimy nowej edycji poświęcić cały (następny) „Ką-



Blok okolicznościowy, wydany w Belgii (budowa katedry w Koekelberg).

Jedwab do szucia



Fabryka w Warszawie



Dwa nowe znaczki francuskie. — U dołu na lewo: Znaczek księstwa Liechtenstein — na prawo: najnowszy znaczek irlandzki.

dzie w obiegu rzekomo regularny „Avignon” tego komunikaty nie podają, jak również nakładu znaczka wydanego w czasie wizyty króla Jerzego VI.

Okolicznościowa serja irlandzka zawiera dwie wartości za 2 i 3 pensy w kolorach niebieskim i czarnym, format 19×41 mm.

W. H.



Blok znaczków Liechtenstein'u, wydany w czasie wystawy znaczków w stolicy kraju, mieście Vaduz 30. VII — 8. VIII).

Orzeźwiające
Landrynki



WEDLA

ci”, bo w szczupłych ramach bieżącego numeru nie zmieściłyby się wszystkie uwagi i spostrzeżenia.

Znaczkami za 1,20 fr. uzupełniamy bieżącą serję Liechtensteinu; nie wyróżnia się on „urodą” z pośród przystojnych zresztą towarzyszy. Nikt nie zaprzeczy, że to przesada, aby takie mikroskopijne państewko, wydało już trzeci blok. Wolilibyśmy, aby w inny sposób uczczono trzecią wystawę filatelistyczną w Vaduz.

Również zapowiadany blok belgijski ukazał nam swoje (w kolorze lila) oblicze, ale jeśli ktoś poświęca się już specjalnie temu państwu to nie przeraża go cena 5+5 fr. Format 94×120 mm.

Jesteśmy trochę spóźnieni, jeśli chodzi o reprodukcję nowości francuskich, spełniamy jednak życzenie naszych Czytelników, którym nie wystarcza opis. Jak długo bę-

KATALOGI MICHLA 1939
Europa 6 zł; cały świat 8,75; 2 tomy 10 zł. Porto osobno. „Przybory filatelistyczne” Kraków, Pierackiego 6



UNIERSALNY KREM
Isle
NA PLAŻĘ I SŁOŃCE,
J. i S. Stępniewicz Poznań



Rodzice jego byli zamożnymi ludźmi. Mawiali często: Nasz majątek zapewni Edwardowi pełnię praw do życia i możliwość korzystania z niego.

Edward ukończył gimnazjum. W okresie pierwszych lat swych studiów uniwersyteckich, żyjąc w epoce realizmu, zaznajomił się z wszystkimi przyjemnościami, jakie dać może pieniądź, oraz swoją i cudzą młodość, niczem niekrępowana, pobudzana wzmagającym się tętnem gorącej krwi. Zdrowie, najbardziej błogosławiona spuścizna, jaką otrzymują dzieci po swych rodzicach — spoglądało radosnym blaskiem z zrenic chłopa.

Młodość szczęściarza wspierana pozycją rodziców, siłami fizycznymi i nieprzeciętną inteligencją zappełniła się pasmem nieprzerwanej pracy i przygód, których napróżno szukają ludzie starsi. Naprawdę jednak życie Edwarda rozpoczęło się, gdy ukończył 20-cia lat. Było to któregoś gorącego dnia letniego. Edward długo przechowywał w swym biurku pewną fotografię, która była pamiątką tego właśnie dnia letniego, i która później stała się bezwartościowym dokumentem utraconych na zawsze wartości.

Dzień narodzin Edwarda-mężczyzny miał na imię: Anna. Zapytał wtedy Edward:

— Czy posłaby pani ze mną na spacer? Anna zgodziła się i w parę godzin otrzymała wyznaczenie, chwytające w tym wieku za krtani i powodujące drżenie rąk.

Na drugi dzień Edward wyjechał. Nienasycone uczucie uczyniło z pierwszych samodzielnych kroków mężczyzny — ofiarę. Listy, które Edward otrzymywał od Anny przetrwały lata. Były one starannie ułożone i związane sznurkiem, pachniały silnymi perfumami. Zapach ten wpierw świeży i jedyny, potem sentymentalny, wreszcie nikły, przypominający zwiędłe kwiaty i z trudem dający się odnaleźć — przepadł na zawsze na krótko przed innym wielkim dniem Edwarda, kiedy papierowe obietnice, zaklęcia i wyznania zostały spalone. W wiele lat Edward żałował, że wrzucił owe listy do pieca, ale wtedy myślał tylko o znaczkach pocztowych...

Ostatni z tych pachnących listów prosił: „...i tylko mnie zawiadom o swym przyjeździe. Nie chcę aby ktoś z twoich witał Cię na dworcu. Chcę być sama, gdy wysiądziesz z wagonu”.

Powrót Edwarda był radosny. Z białej pary na peronie wynurzyła się Anna — objęła Edwarda ramieniem i ucałowała go lodowatymi wargami. W saniach, białymi ulicami miasta odjechali do domu.

Dwa lata minęły bardzo prędko. Edward ukończył studia, dojrzał i uczuł się uprawnionym do krytycznego spoglądania na rzeczywistość. Wiele rzeczy, które kiedyś później okazały się najbardziej wartościowymi klejnotami — widział jako romantyczne głupstwka — nie godne tego, by się nimi zajmować.

Stosunek Edwarda do Anny, przetrwał ogólną próbę rozłąki — lecz zmieniał się zwolna. Pierwsze odruchy szczere i bezpośrednie — zamieniały się w chłodną i wykalkulowaną strategię. Anna nie pojmująca tych przemian, a może nie spostrzegająca ich, pozostała tą samą dziewczyną, która wśród zapachu lipowego kwiecia rozpłakała się, gdy przyszło jej wyznać miłość. Zawsze jednakowo odczuwała ból, kiedy myślała o swym przywiązaniu do Edwarda.

Zdarza się, że niewinny, zapomniany papirus staje się przyczyną pożaru i zniszczenia niewzruszonych zdaloby się gmachów.

Małe nieposłuszeństwo Anny — zakończyło przygodę.

— A jednak uczesałaś się inaczej, niż o to prosiłem.

— Wydało mi się, że tak będzie lepiej...

— Ależ prosiłem cię. Powinnaś o tem pamiętać.

— Czyż nie mogę o niczem sama postanowić — zdziwiła się dziewczyna.

Nowy ROBINSON



NOWELA

JANUSZ MARIA BRZESKI

— Możesz. Ale tu chodzi o ciebie. Byłoby ci lepiej z loczkami...

— Czyż ja ci radzę jakie masz nosić krawaty? — odcięła nagle dziewczyna.

Edward nie odpowiedział. Wieczór nie należał do najmilszych. Siedzieli osowiali naprzeciwko siebie w jasno oświetlonej sali restauracyjnej. Wcześniej wyszli, Edward odprowadził Annę do domu i pożegnał się chłodno.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie widzieli się przez parę dni. Anna odczuła to boleśnie. Edwardowi rozłąka nasunęła myśl, że jednak może sobie dać radę sam, a więc że to uczucie, które żywił dla Anny albo nie jest tak wielkie, albo może jest zupełnie urojone i niepotrzebne.

Widywali się coraz rzadziej. Edward nasycony swą pierwszą miłością — przestał zwracać uwagę na kobiety, jak czynił to dawniej. Był grzeczny, dbał o nie, jak go nauczono w domu, ale chłodny i niewzruszony. Być może, ten właśnie stosunek stał się powodem jego powodzenia.

Po zerwaniu z Anną — Edward rozpoczął okres, kiedy młody człowiek przed walką, która go czeka w życiu — pragnie zabawić się aż do utraty tchu. Okres ten

mijał szybko, pozostawiając piętna i dając Edwarda przeżyciami, które kiedyś miały się w nim odezwać — nie wywołując jednak echa.

Wreszcie przyszła reakcja. Najbardziej zdaloby się nieosiągalne widma młodej wyobraźni, stały się rzeczywistością, z dnia na dzień coraz bardziej powszedniejącą. Edward odwiedził swego ojca i wyraził gotowość współpracy w jego przedsiębiorstwie.

Zetknięcie się z nowym środowiskiem, naprężenie, baczna uwaga, by utrzymać się na powierzchni, subordynacja ludzi pracy i ich wyrzeczenia się, które stwarzały atmosferę czujności i przyczajonej chytrłości — oszołomiły Edwarda. Życie, które gotów był już uważać za łatwe i nieskomplikowane aż do nudy — nabrało nowych rumieńców i porwało Edwarda.

Młody człowiek, po raz pierwszy w życiu dostępujący zaszczytu pracy, zdaje sobie sprawę, że jest pożyteczny i jest z tego uczucia dumny. Edward był dość kraciawy w swych zapatrywaniach i dążeniach, to też w krótkim czasie cały zagłębił się w swych nowych obowiązkach.

Po upływie pierwszych paru miesięcy, które oswoiły go z mechanizmem przedsiębiorstwa — jako nowy dyrektor — zaczął Edward myśleć o zmianach i unowocześnieniach niektórych oddziałów. W domu — nie miał nigdy czasu na posiłek — zagrzebany w stosach fachowej literatury, pomagającej mu w układaniu szerokich planów.

O ile dawniej był Edward — raczej powierzchowny w traktowaniu szeregu zagadnień — to czasy jego pracy przyniosły nowe zmiany. Edward stał się nieomal pedantem — drobiazgowym i dokładnym, jakby przeczuwał, że te przynioły są potrzebne w mądrym rządzeniu. Młodość, odwaga, szybka decyzja i stanowczość, pozwoliły w niedługim czasie przemienić Edwardowi zamożne, mieszczańskie przedsiębiorstwo ojca — w milionowego giganta.

Ustawiczny rozrost fabryki, nieustające powodzenie, uznanie i podziw ludzi — stanowiły dla Edwarda jedynie bodziec do dalszej aktywności.

Edward pracował jak szaleniec. Fabryka rosła z dnia na dzień — nie była przedsiębiorstwem o ustalonym — monotonnym biegu, który wprowadziłby czyni pracę jałową, ale też pozwalała na uschematyzowanie czynności, a co za tem idzie, na zmniejszenie czasu pracy. Rozrost — stawał Edwarda z godziny na godzinę, przed nowymi trud-

Od morza do gór - NIVEA!

Krem NIVEA znajduje się w handlu tylko w oryginalnych opakowaniach. Dobre i znane preparaty chętnie są naśladowane — przestrzegamy zatem przed nabywaniem kremu, sprzedawanego na wagę pod nazwą NIVEA.
Cena od 0,40 do 2,60
Pebeco Spółka Akcyjna w Poznaniu



Zapraszam wszystkich letników do korzystania z moich usług. Przed udaniem się na słońce należy koniecznie wzmocnić skórę NIVEA. To ułatwia i przyspiesza opalanie cery i równocześnie zmniejsza niebezpieczeństwo oparzenia słonecznego. Ale trzeba pamiętać, że tylko NIVEA zawiera Euceryl, środek wzmacniający skórę.

nościami i zagadnieniami — kazał spekulować czasem zarówno jak i gętkością słów wypowiedzianych.

Prawie równocześnie, bo w odstępie paru dni stracił Edward rodziców. Fakty te wstrząsnęły nim. Uznał, że rozpamiętywanie i analizowanie ciosu, mogłoby się odbić fatalnie na jego zdolności działania i rozprzegłoby mu nerwy. Dlatego też ani na parę dni nie oderwał się od swych zajęć.

Aby nie dopuścić ku sobie niebezpiecznych myśli — rozpoczął realizację dawno zamierzonego kartelu. Czynność ta budząca w Edwardzie instynkty pierwotnego człowieka — wyzwalała w hazardowej grze — całą bystrość i podświadome odruchy — kazała zapomnieć ostatecznie o domu. Edward mieszkał nieomal w fabryce — będąc ciągle na jej usługach, pilnując i strzegąc swym mózgiem — olbrzyma, podczas jego niebezpiecznej przemiany.

Po paru miesiącach wytężonej pracy, która Edwardowi dała ukojenie i zapomnienie — przeszywając każdy jego nerw dreszczem nowych doznań — z mgieł i labiryntów śmiałego planu — wyłonił się nowy twór — zdolny do życia i niezwalczony. Twórca mógł odpocząć i spojrzeć z perspektywy na swe dzieło.

Mieszkanie rodziców Edwarda — którego tak dawno młody magnat nie odwiedzał — ożyło. Poza drobnymi zmianami poczynionymi po pogrzebie rodziców Edwarda — nie się tam nie zmieniło. Te same zegary wydzwaniały godziny i te same dywany tłumiły kroki uchodzącego czasu.

Edward — błędząc wieczorami po ogromnych pokojach, zauważył pewne — nieuchwytnie z początku zmiany. W mieszkaniu przybyło obrazów przeszłości. Edward zdał sobie sprawę, że wiele rzeczy i wydarzeń, które do niedawna były z nim nirozdzelnie związane i stanowiły część jego żywej osobowości — teraz odsunęły się od niego — wyodrębniły, dając się obserwować jako coś nie mającego nic wspólnego z teraźniejszością.

Interesy fabryki, aczkolwiek wymagające rozległych interwencji Edwarda — przestały bezpośrednio ciążyć na nim. Obecnie ruch maszyn nie wymagał już walki i zachodu. Edward miał coraz więcej czasu dla siebie — co po jego uprzedniej, szaleńczej pracy stwarzało zbyt silny kontrast, aby nie dał on wreszcie poczucia osamotnienia.

Mózg Edwarda przyzwyczajony do szybkiego stawiania diagnozy — podsunął myśl założenia własnego domu. Myśl ta z początku dość obca — przeniknęła Edwarda w niedługim czasie nawskróś, nie dając mu już chwili spokoju.

Mniej więcej w 6 miesięcy po uczynieniu tego odkrycia — Edward ożenił się. Kobieta, która miała mu towarzyszyć w życiu, należała do typu przedwojennych pań, które stworzone zostały po to jedynie, by rodzic dzieci, rządzić domem i reprezentować nazwisko męża.

Pierwsze lata pożycia małżeńskiego — przyniosły Edwardowi tyle spokoju, że spowodowały zupełne zadowolenie z życia.

Dwoje dzieci — Edward kochał szczerze i poświęcał im od najwcześniejszej młodości tyle co najmniej czasu, co nadzorowi swego ogromnego przedsiębiorstwa. Dzieci też stanowiły w życiu Edwarda najdłuższą, jedną z poważniejszych przeszkód w staraniach dotarcia do ostatecznego celu i kresu wędrówki.

Kiedy Edward osiągnął 38 rok życia — był już oddawna odsunięty od trosk i walki o byt. Właściwie wszystko było poza nim. Coraz dokładniej widział Edward, że to co można było i co miał dokonać w życiu — zostało już wykonane. Poczł się jak człowiek, któremu odmówiono możliwości pracy. Zestarał się, zaczęło go opanowywać odrętwienie. Przed nim nie rysowały się już żadne horyzonty.

Pozostawał dom, żona, dzieci. Dom był czymś tak doskonałym, że zaczął go nużyć. Żona Edwarda — daleka od kaprysów i nierówności współczesnych sobie kobiet, nie potrafiła go ożywić ani urozmaicić atmosfery jego domu, jak również sama pozostała zawsze tą samą spokojną i równą panią, która przed laty oczarowała Edwarda.

Bez wątpienia Edward kochał swe dzieci. Byłby dla nich poświęcił cały swój majątek i trud swego życia. Być może, że gdyby one stanowiły jego cel od pierwszych chwil pracy, aż do późnej starości — stałyby się droższe i godne wszystkiego na świecie. W sytuacji jednak, która z wolna krystalizowała nieciekawą, zmęczoną i zblazowaną roślinę Edwarda — były te dwa młode istnienia tylko nieodłącznymi fragmentami tego wszystkiego, co zaledwie przeczuwał Edward, czego jednak obawiał się panicznie: monotonii.

Coraz więcej czasu, spokojnych, niczem nie niepokojących chwil, pozwalało Edwardowi na długie ropamiętywanie. Wczesna młodość, Anna i okres, który nastąpił po zerwaniu z nią rozpamiętywany codziennie coraz uporczywiej i z większą tęsknotą — nabierał blasków bezpośredniej rzeczywistości.

Któregoś lata, gdy żona Edwarda wraz z dziećmi wyjechała na wakacje — Edward otrzymał list od Anny. Nie poznał pisma na kopercie. Niebieskie kartki — zapisane drobnym, nerwowym pismem — studiował uważnie. Anna w liście swym zapowiadała rychły przyjazd. Była fortancerką, cieszyła się, że Edwardowi dobrze się powodzi i opowiadała, że nie wiedziała co się z nim dzieje — aż dopiero kiedyś w gazecie znalazła jego podpis — wydrukowany pod bilansem handlowym.

Edward — długo obserwował charakter pisma, jakoś papieru — wreszcie powąchał niebieskie kartki. Pachniały gumą arabską i atramentem. Anna nie uperfumowała swego listu. Był to pierwszy zawód jakiego doznał Edward — w poszukiwaniach cieniów przeszłości. Zawód jednak tak nikły, że nie zmniejszył ani o odrobinę radosnego drżenia po przeczytaniu listu.

W parę dni potem nadszedł drugi list, w którym Anna donosiła, że jest już w mieście, wynajęła mieszkanie i oczekuje Edwarda u siebie o 5 po południu.

Kiedy dzwonek zaterkotał i w chwilę potem otworzyły się drzwi, Edward zapomniał zupełnie o przestrodze „Zawsze na przód i ani kroku wstecz” — i wszedł do skromnego przedpokoju, po którym tułały się reszki zapachów obiadu. Następne drzwi, do pokoju Anny — otworzył bez pukania. Ujrzał nakryty stół pod oknem — nierozpakowane jeszcze walizki i wreszcie obcą, szczupłą sylwetkę kobiecą. Zapanowało milczenie, które przerwała Anna:

— Jesteś więc wreszcie. Tym razem nie widzieliśmy się bardzo długo...

— Dzień dobry Anno — powiedział mężczyzna, wyciągnął ramiona na przywitanie. Doprawdy, bardzo się cieszę z tego spotkania...

Ucałował dziewczynę.

— Usiądźmy i opowiemy sobie o nas. Kto pierwszy? Ciągniemy: orzeł czy reszka?

Wypadło że Anna. Podczas gdy dziewczyna opowiadała — Edward obserwował ją. Na ulicy poznałby ją bez wątpienia, a jednak Anna była kimś innym — nieomal obcą. Każde słowo akcentowane ostro — czyniło dziewczynę dalszą i bardziej nieznaną. Pomimo serdecznych spojrzeń — odczuwali oboje, że życie urobiło w nich wiele nieuchwytnych nowych cech.

Edward — wieczorem, gdy siedział w swym gabinecie — przypominając sobie każdy szczegół spotkania, doszedł do wniosku, że powtórne zbliżenie jego i Anny — musiałoby być zbliżeniem obcych osób, które właśnie się poznają.

Uporczywe próby nawiązania do dawnych nastrojów i przyjaźni, nie dały rezul-

tatu. Po miesiącu Anna wyjechała — obiecując pisać i donosić o sobie.

Spotkanie z Anną ożywiło Edwarda, który rozpoczął poszukiwania starych znajomych. Kiedyś odwiedził dom na dalekiej, nieuczęszczanej uliczce, w którym był dawniej często. Na spisie lokatorów nie znalazł znajomego nazwiska, zadzwonił więc do stróżki.

— Czy nie mieszka tu już pani K.?

— Nie znam jej, proszę pana. Ale może zapytamy właścicielki domu.

Stara pani, smutna, cała w czarnych kolorach, mieszkająca wśród palm i kotów cieplarnianego mieszkania — zamyśliła się:

— Czy tu mieszka pani K.?... Hm — wraz ożywiła się — Boże! ale to przecież takie dawne czasy. Już dawno temu, proszę pana, wyjechali. To znaczy córka jej ze swą ciotką. Pani K. umarła 10 lat temu...

Tego dnia Edward znalazł się w jednym jeszcze osobliwym mieszkaniu. Wchodziło się tam przez kuchnię. Kobieta z nad bałji wpatrywała się przez chwilę zaczerwienionymi oczyma w przybysza, poczem wykrzyknęła: „Edward — to przecież ty!” — i sponsowała zażenowana.

— Nie krępuj się, Marcu... pani Marcu, (wzrok Edwarda opadł na dwoje dzieci bawiących się na podłodze) — przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi...

— Ach tak, Edwardzie — mówiła Marta zachrypniętym głosem. — Życie nie oszczędziło mnie... Piękne czasy minęły i oto patrz co mnie otacza...

Otarła ręce w fartuch i poprosiła Edwarda do pokoju, w którym na łóżku leżał mężczyzna w ubraniu i butach. Ciężko chrapał. Edward cofnął się ku drzwiom.

— Zostań — mój drogi — uspokoiła go kobieta — on nie obudzi się. Przyszedł przed godziną pijany. Wstanie wieczorem gdy będę już spać i zarząda, by mu ugotować kolację...

Po godzinie Edward przesiąknęty zapachem mydlin i zmęczony krzykiem dzieci, zęgnął się z Martą, która dotychczas żyła w jego wspomnieniach jako młoda, pełna życia, pachnąca jaśminem dziewczyna.

— Czy nie wiesz z Julą... Wiesz o kim mówię... Ta wysoka, o męskim profilu...

— O ile wiem, tylko ty poszedłeś na przód — Marta wzruszyła ramionami. Julia... Słyszałam o niej kiedyś wiele. Spotykałam ją... Podobno otruła się... Była taka zawsze zrównoważona. Nigdybym jej nie posadziła o coś podobnego...

Ciemnymi już ulicami wrócił Edward do pustego mieszkania.

Mniej więcej w parę dni potem wyjechał w niewiadomym kierunku. Nie pozostawił żadnych wskazówek. Po paru tygodniach zrozpaczona żona wszczęła poszukiwania przez policję. Po 4 miesiącach przetrząsnęto gabinet Edwarda. Rezultaty tych poszukiwań były niespodziewane. Odnaleziono testament, mocą którego cały majątek przechodził na własność żony i jego dzieci. Pokażne sumy — zostały przeznaczone dla paru osób, o których istnieniu pani Edwardowa dotąd nie słyszała. Wraz z testamentem odnaleziono dyspozycję dla dyrektorów przedsiębiorstwa i wskazówki dla prezesów rady. Pogodzono się z myślą, że Edward odebrał sobie życie — a powód tego czynu pozostał na zawsze zagadką. Upłynęły lata.

* * *

Nagi — zarośnięty człowiek — pochylony nad grzędami warzyw — odczuł basowy ciąg powietrza. Opuścił brudne, zniszczone ręce. Nadśluchiwał. Tylko lekkie powiewy wiatru rozwiewały pióropusze smukłych palm. Ręce powróciły do pracy, kark wygiął się w kablak.

Wyraźny już tym razem, niski głos, znów poruszył powietrzem. Tym razem człowiek nie mógł się mylić. Dawno zabliźnio-

Dokończenie na stronie 12-tej.

ŻYWE PUŁAPKI

Na lewo: Trzy fazy uwidaczniające, jak dzbanecznik uwięził nieostrożnego owada.



do innych roślin, rosnących na kuli ziemskiej, niezbyt wiele. Najpospolitszą, rosnącą na podmokłych, torfistych gruntach jest rosiczka (*Drosera*), która znajduje również miejsce w hodowli pokojowej. Nazwę swą zawdzięcza specjalnym czerwonym włoskom, znajdującym się na blaszkach rozetkowanie ułożonych liści, które zakończone są kuleczkami, błyszczącymi niby kropelki rosy. Włoski te są zdradliwe. One to podstępnie zwabiają i nęcą do siebie owady, które spragnione napoju, miast rosy śmierć znajdują. Z chwilą, gdy owad usiadzie na listku, włoski zaczynają się poruszać i nachylać ku ofierze, obejmując je z wolna i zacieśniając się dokoła jej ciała, a równocześnie z główkowatych zakończeń włosków wydziela się lepki sok, który ubezwładnia owada i zaczyna trawić jego ciało. Sok ten przypomina bardzo pod względem chemicznym działanie soku żołądkowego na ciała białkowe u zwierząt i człowieka. Im więcej szamoce się ofiara, usiłując wyrwać się z śmiertelnego uścisku niewinnych napozór włosków, tem więcej wydziela się soku, który zalewając tchawki owada powoduje jego śmierć. Po skończonej uczcie, która nieraz trwa kilka dni, włoski odchylają się i wracają do pierwotnej pozycji, a niestrawione szczątki owada, jak chitynowe skrzydła lub nożki, rozwiewa wiatr lub spłukują deszcze.

Liście rosiczki trawia nietylko ciała owadów, lecz także położony na nich kawałek mięsa lub sera, a więc ciała białkowe, zawierające w sobie azot. Nie reagują natomiast zupełnie na cukier, mąkę, lub jakiś inny z węglowodanów. O ile kasek położony na liściu dla doświadczenia jest zbyt duży, liść trawi tylko jego część, a reszta niestrawiona ulega rozkładowi. Liście, które już kilkakrotnie brały udział w trawieniu, zwolna marnieją i giną, a w miejsce ich wyrastają nowe, które znowu podejmują czynność trawienia żywego pokarmu. Przekonano się, że rosiczki, które odżywiają się ciałem owadów, są o wiele silniejsze i większe od tych, które są pozbawione tej zdobyczy.

Bliski krewny naszej rosiczki — rosołistnik (*Drosophyllum lusitanicum*), rosnący w południowej Hiszpanii i Portugalii, który z pośród roślin owadożernych ma najdłuższe liście, od dawnych czasów w niektórych portugalskich chatach znalazł zastosowanie jako żywa mucholapka. Na liściach jednej rośliny można było nieraz naliczyć i ponad 200 much, które padły ofiarą żarłoczności rośliny. Młode listki są zwinięte pastorałowo. Im starsze, tem więcej się rozprostowują, aż wreszcie przyjmują położenie prawie równoległe do powierzchni ziemi. Na spodniej stronie tych liści, oraz na brzegach górnej części blaszki widnieją włoski, zakończone czerwonymi kuleczkami, które lśnią w słońcu jak gdyby drobnymi kropelkami rosy. Zwodnicze te liście stają się pułapką dla nieopatrnych owadów.

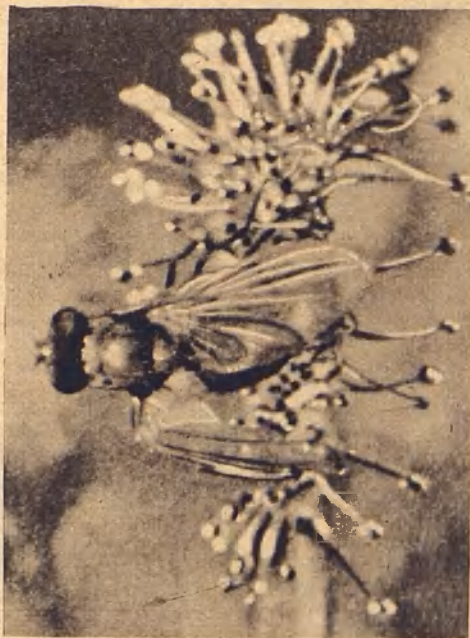
Również na torfowiskach i podmokłych łąkach rośnie tłustosz (*Pinguicula vulgaris*), którego liście ułożone w rozetkę, są pokryte licznymi gruczołkami, wydzielającymi kleistą ciecz i przez to sprawiają wrażenie tłustych: stąd też poszła nazwa rośliny.

Gdy tylko jakiś drobny owad siądzie na liściu, drżgi jego zaczynają się zawijać do wewnątrz, a gruczołki natychmiast wydzielają sok trawiący i owad nie może się już uwolnić. Zależnie od wieku i sprawności liścia, zdobycz zostaje strawiona po upływie 1—3 dni i liść znowu przyjmuje normalny wygląd.

Rośliną drapieżną, która niemal dosłownie chwytła owady w potrzask, jest mucholówka (*Dionaea muscipula*), rosnąca na torfiastej glebie na wschodnich wybrzeżach



Żywe barwy kielichów dzbanecznika, czynią pułapkę tem niebezpieczniejszą.



Znacznie powiększone zdjęcie owada, który padł ofiarą rośliny — pułapki.

Nikogo nie dziwi fakt istnienia drapieżnych zwierząt, rekrutujących się z pośród rozmaitych grup olbrzymiego królestwa fauny, żywiących się wyłącznie pokarmem mięsnym, ani też nie zastanawia nas już wielka ilość zwierząt roślinożernych. W zdumienie jednak niejednego wprowadzić może istnienie również „okrutnych”, jak zwierzęta, drapieżnych i podstępnych roślin, których pokarm stanowią żywe owady. Stąd też zyskały one nazwę owado- lub mięsożernych.

Jakżeż to możliwe, aby rośliny, przytwierdzone na stałe do podłoża i nie mogące zmieniać swego miejsca, umiały chwycić zwierzęta? W jakim sposób polują one na swą zdobycz?

Rośliny „uciekają się” do podstępny i w pułapkę zwabiają nieopatrne ofiary. Połowanie roślin na owady najlepiej zilustrują przykłady.

Roślin owadożernych jest w porównaniu

Ameryki Północnej. Na dziwną tę roślinę zwrócił uwagę w połowie XVIII wieku pewien angielski kupiec, lecz obserwacje jego zostały uznane za fantastyczne. Dopiero w kilkadziesiąt lat później mucholówka znalazła zainteresowanie u botaników. Stała się równie przedmiotem badań i obserwacji słynnego przyrodnika Darwina.

Pałapkę u tej rośliny tworzą również liście. Rozszerzający się stopniowo ich ogonek przechodzi w blaszkę, która dzieli się na dwie części, nachylone względem siebie pod pewnym kątem, przypominając półotwartą książkę. Brzegi blaszek są uzbrojone w ostre i sztywne ząbki, a na środku każdej części znajdują się po trzy włoski. Prócz nich górna powierzchnia blaszek jest pokryta mnóstwem purpurowych gruczołków, które swym żywym zabarwieniem zwabiają owady. Z chwila, gdy owad siądzie na liściu i dotknie któregoś z sześciu włosków, natychmiast zatrząskują się obie połówki liścia, aby już nie wypuścić złowionego łupu. Włoski „zawiadamiają” niejako liść o zdobyczu, gdyż tylko wówczas, gdy włoszek zostanie podrażniony, połówki liścia zamykają się. Ostre ząbki na brzegach liścia zaciskają się wzajemnie, jak palce u rąk i owad nie może umknąć. — Z gruczołków zaczyna obficie wyciekać przezrysty sok, który trawi ciało nieszczęśliwego więźnia.

Podobne pałapkowe liście, znacznie jednak mniejsze i liczniejsze, posiada owadożerna *Aldrovandia*, unosząca się swobodnie w stojących wodach Europy środkowej i południowej, znana także z Indyi i Australji. Gdy jakiś maleńki skorupiaczek, lub drobny owad wodny zawadzi nieostrożnie o włoski, sterczące na blaszce liściowej, jest już zgubiony, gdyż połówki liścia zamykają się nad nim, by następnie strawić jego ciało.

Krajową, owadożerną rośliną jest pływacz (*Utricularia*), będący — jak sama nazwa już wskazuje — rośliną wodną. Pomiedzy delikatnymi i postrzępionymi jego liśćmi kryje się duża ilość drobnutkich, niemal przezroczystych pęcherzyków, które są istnymi pałapkami, zastawionymi na przepływające ofiary. Do wnętrza pęcherzyka prowadzi otvorek, otoczony długimi włoskami. Zdobycz, która wpadnie w otvorek, naciska leżące głębiej nieco wieczko, które otwiera się tylko do wnętrza pęcherzyka. To też odwrót jest uniemożliwiony. Zamknięta ofiara ginie z braku powietrza i pokarmu. A wówczas ciało jej rozkłada się i pożywne soki zostają wessane przez roślinę z pomocą specjalnych brodaweczek, które pokrywają wnętrze pęcherzyka.

Są jeszcze i inne rodzaje pałapek, które zastawiają rośliny na swe ofiary. W wilgotnych tropikalnych lasach, a zwłaszcza na ar-



Znacznie powiększone zdjęcie owadu, który padł ofiarą rośliny-pałapki.



Oto jedna z wielu odmian roślin owadożernych — kapturница.

chipelagu malajskim, rosną w kilkudziesięciu gatunkach dzbanuszniki (*Nepenthes*), które nazwę swą zawdzięczają dzbanuszkom, powstałym z przekształcenia ogonków liściowych. Rozmaitość dzbanuszków jest bardzo duża. Od kilkucentymetrowych, do półmetrowej nawet długości. Dzbanuszki o największych rozmiarach i pojemności ma *Nepenthes rajah*, który rośnie na wyspie Borneo. Przy długości 30 cm mogą one posiadać średnicę do 12 centymetrów. Nic też dziwnego, że śmierć w nich mogą znaleźć nie tylko największe owady, lecz niekiedy nawet najmniejsi przedstawiciele świata kręgowców. Żywe barwy tych wymyślnych pałapek zwabiają do siebie liczne owady, a nawet skorpiony. Nad wylotem dzbanuszka znajduje się wieczko, którego dolna powierzchnia wydzielą słodką ciecz. Zwabione owady opłaca ją często tę wyprawę po kuszący napój życiem. Spadają do wnętrza dzbanuszka, z którego już wydostać się nie mogą. Nie pozwalają na to zarówno śliskie i gładkie ściany dzbanka, jak i ostre ząbienie jego brzegów. Po daremnych wysiłkach wyswobodzenia się z matni, owad ginie w cieczy, którą wydzielają drobne gruczołki, pokrywające ściany dzbanka.

Podobne pałapki zastawia na owady kapturница (*Sarracenia*), rosnąca w kilku gatunkach na bagnistych terenach połudn. części Stanów Zjedn. Ogonki liściowe, zmienione w rodzaj woreczków, przymkniętych wieczkiem niby kapturem, dochodzą do 3/4 metra: odznaczają się nieraz żywymi barwami. Na dnie woreczków lśni woda, pochodząca z opadów atmosferycznych; u wylotu zaś wydzielają się kropelki słodkiego nektaru, których ostre zakończenia skierowane są w dół i spada na dno do wody. Z pałapki niema już wyjścia. Ciało nieostrożnych owadów zostaje zamienione na pożywne soki, potrzebne roślinie.

* * *

Wszystkie pałapki roślin mięsożernych mają jedno zadanie — zamienić ciało owada na soki potrzebne im do życia, bo wszystkie rośliny dla prawidłowego rozwoju i wykonywania czynności życiowych potrzebują azotu, który z nielicznymi tylko wyjątkami czerpią z podłoża, na którym rosną. Ponieważ zaś rośliny owadożerne żyją bądź to na glebach podmokłych i torfiastych, bądź w wodzie, gdzie substancji azotowych jest niewiele, przeto niedobór ten pokrywają przez chwytanie i trawienie ciał owadów.

Tym sposobem odżywiania się przypominają one bardzo zwierzęta, które muszą pobierać gotowy pokarm organiczny, bądź zwierzęcy, bądź też roślinny. Napozór niewinne i piękne rośliny — to nieraz najbardziej drapieżne twory przyrody.

Dr. Z. M.

Dokończenie ze str. 10-tej.

ne, odległe lata, przemówiły głosem znanych kojarzeń.

— To przecież głos syreny okrętowej — pomyślał nagi dzikus.

Zerwał się i popędził na brzeg, gdzie poszum-fal-kołysał go do snu, wpatrzył się w widnokrąg. Był czysty, żadna plamka nie brudziła wielkich wód. Człowiek ukląkł.

— Boże, dzięki Ci — rozpoczął modlitwę...

Po chwili otworzył oczy. Lekki, szary obłok majaczył nad granatową linią morza. Mężczyzna zacisnął pięści i wpatrzył się w dal. Parowiec rósł z minuty na minutę. Wargi samotnika drżały od niewypowiedzianych słów:

— Przecież uciekłem od tych ludzi. Moje pieniądze pozwoliły mi odnaleźć pustelnię, której pragnąłem i która przysporzyła mi tyle cierpień. Teraz zaś, gdy zdołałem zapomnieć o nich — przychodzą ci ludzie, by

zniweczyć wszystko, co stało się dla mnie prawdziwym życiem.

Myślał jeszcze: Może odpłyną? Może zboczyli z kursu, by zobaczyć ten ład? Odpłyną... Rozpacz rozsądzała czaszkę. Wiedział, że wszędzie na ten statek i przeczuwał co go czeka — tam w jego mieście po tylu latach... Już raz to przeżył...

Parowiec dał potrójne sygnały. Z hukiem wypadły kotwice i łańcuchy zadudniły w kluzach — bijąc echem o ścianę zieleni, przed którą klęczał Edward. Spuszczono lódz...

Mężczyzna zerwał się i począł uciekać. Zieleni wybrzeża wchłonęła go zazdrośnie. Na mostku kapitańskim padły słowa:

— Przeraził się... Ciekawe, jak dawno tu przebywał?...

Edward pędził przed siebie. Ujrzał swe pole, mały świat ukradziony dżungli dla eksperymentów resztek cywilizacji, których nie mógł się pozbyć.

Nagle tuż przed sobą, na mgnienie oka,

ujrzał pochylony pal ogrodzenia. Chciał uskoczyć, ale spóźnił się. Ostrze, jak blyskawica wdarło się w opalone ciało i przeniknęło go dreszczem przerażenia i bólu. Ciało obsunęło się przesyte drzewcem ku ziemi. Strach przed śmiercią ustąpił miejsca radosnej myśli, że udało się uciec jeszcze dalej przed światem i ludźmi — poczem ciężkie powieki opadły. Ostatkiem sił uniósł je i zobaczył bardzo blisko siebie — ziemię, którą tak ukochał...

* * *

Znaleziono go. Ciało było wiotkie jeszcze i ciepłe. Nie domyślano się, kim był. Nazwano go Nowym Robinsonem i pochowano na wyspie. W godzinę potem wysadzono na ład deportowanych i zagospodarowano nową kolonję karną, poczem statek wypłynął na morze, na powitanie nadchodzącej fioletowej nocy, która przeszła już nad Edwardem, a teraz zagarniała jego ziemię i morze.



Kto zaczął?

Unikajmy niepotrzebnych sprzeczek!



Wiele i często słyszy się o t. zw. kulturze towarzyskiej. Prawie każdy inteligent ma do niej pretensję. Niejednemu nawet udaje się wyrobić sobie taką markę. Zapytać jednak nieraz przyjdzie: ile w tem jest kultury „na wynos”, a ile tej prawdziwej, na wewnętrzny użytek? — Sprawdzianem, dość nieomylnym, jest życie domowe, życie rodzinne. Niejeden gentleman, niejedna urocza dama, rezerwują swe walory tylko dla obcych. Ze swoimi zaś, z bliskimi, w domu popuszczają sobie cugli bez żenady. Trzymanie się w garści, umiejętność pohamowania swego temperamentu w odpowiedniej chwili w życiu domowym — to warunek przyzwoitych i naprawdę kulturalnych stosunków w rodzinie. Nie sztuka żyć w harmonii, gdy wszystko naokoło jest idealne i nie ma żadnych kontrowersyj. Ale właśnie, gdy zachodzą czy to kolizje interesów, czy różnice zdania — wówczas w takich okolicznościach dochodzi do głosu prawdziwa kultura. Przytaczamy poniżej dwa przykłady rozmów między małżonkami, zaczerpnięte z tygodnika „Marie Claire”, które przerozdiły się w przykre sprzeczki. Przeczytajcie je uważnie!

- ONA:** Kochanie, nie byliśmy już tak dawno w teatrze. Możebyśmy poszli jutro wieczorem?
- ON:** Jeśli ci na tem zależy...
- ONA:** A może wolisz kino? Wiesz, jakiś może dobry film amerykański, taki jak ty to lubisz...
- ON:** Ależ nie, kochanie, bynajmniej, nie mam zakroju na tyrana. Niechże więc będzie teatr...
- ONA:** Nic mówiąc już o tem, że nie wiem o żadnym dobrym filmie w tej chwili.
- ON:** Niema dobrego filmu? A ktoś ci to powiedział? Swoją drogą, ty lubisz nastroje uczuciowe, romantyczne: zapewne uważasz, że niedość się leje łez na ekranach w tym tygodniu...
- ONA:** O, jak mało mnie znasz! Jestem również wesoła, lubię się śmiać tak samo jak ty i mam tyleż fantazji co i ty.
- ON:** Masz ogromne zalety i najmiłsze właściwości. Ale co się tyczy fantazji, to raczej jesteś jej pozbawiona. Zresztą nie robię ci żadnych wyrzutów. Nie o to zresztą mi chodziło, gdyś się z tobą żenił.
- ONA:** Co się tyczy twojej fantazji, to ja już ją znam trochę. Ty nazywasz fantazją to, co właściwie jest zamiłowaniem do ciągłej zmiany, skłonnością do nieporządku, niedbałości...
- ON:** Hola, hola, moja pani! Jak to łatwo wylatują zarzuty z takich, ładnych zresztą, usteczek! Poza tem jestem już taki, że nie lubię wszystkiego przewidywać, odmierzać, wszystko już zgóry układać naprzód...
- ONA:** Trudno, ale życie trzeba jednak organizować...
- ON:** Ty to nazywasz organizowaniem życia? Nie cierpię, wiesz o tem dobrze, projektowania...
- ONA:** Tak? — no to nie róbmy żadnych projektów...
- ON:** Ależ proszę, owszem róbmy... Jakiegoż to genialnego autora, jakiego potężnego dramaturga dzieło chciałabyś oglądać?
- ONA:** Więc mogę ci zaręczyć, że nie pójde już do teatru. Masz dziwny sposób gaszenia radości u innych! A potem dziwisz się, że nie jestem dość wesoła!
- ON:** Przed chwilą słyszałem, że jesteś bardzo wesoła, teraz znowu, gdy ci to wygodniej, przyznajesz się, że nie jesteś dość wesoła. Proszę cię, zdecyduj się, jak jest ostatecznie z tą twoją wesołością. Obserwowanie praw logiki jest wskazane nawet w gniewie.
- ONA:** Proszę cię, ulaskaw mnie już, i oszczędź mi zdruzgotania twoją ironją. Mam nadzieję, że dasz mi święty spokój — zrozumiano!
- ON:** Cóż za ton! Zapewniam cię, że to już zupełnie niedopuszczalne. Chyba żeś się prze stała sama słyszeć...
- ONA:** A więc chciałbyś, żebym udawała, żebym ukrywała to co czuję? Okazuje się tutaj cały twój egoizm...
- ON:** Twój własny czeka na to, abyś się nim zajęła.
- ONA:** Ty czynisz tylko to, co tobie dogadza; nigdy nie myślisz o tem, że obok ciebie jeszcze ktoś żyje, oddycha, ma swoje gusty, swoje pragnienia, swoje zachcianki...
- ON:** Słicznie; zupełnie cię o to nie proszę...
- ONA:** (ze łzami wściekłości). Niecierpię cię, słyszysz, niecierpię cię jak jesteś taki.
- ON:** A jakież to ja jestem?
- ONA:** Lodowaty, ironiczny, patyk jesteś, bez współczucia i zainteresowania dla innych żywych istot i spraw. Gdybyś mnie kochał...
- ON:** Słuchaj, ja nie na to wracam z biura do domu, aby tu znajdować żonę przeczuloną, wywołującą dramatyczne sceny...
- ONA:** Ja wywołuję dramaty? Ja? O, Boże! No, wiesz! Poprostu nie kochasz mnie — ot co!
- ON:** Więc zapamiętaj sobie raz na zawsze: kocham cię, natomiast nie kocham teatru, kocham bardzo połowicznie restauracje, kocham żebyś mnie kochano, a najbardziej kocham żebyś mi dawano żyć spokojnie!
- ONA:** (chcąc załatwić sprawę mimo wszystko): A gdyby się tak poszło do cyrku...
- ON:** Acha, i kocham cyrk — to właśnie jeszcze chciałem dodać...



1

- SZA

ROZMOWA





2

-GA
ROZMOWA



- ON:** Słuchaj, kochanie, wiesz, że nie jestem zbyt wymagający — ale ten befsztyk, no!... no!...
- ONA:** Jest trochę twardy, to prawda. Ale zamawiasz sobie obiad punktualnie na pół do pierwszej, a jest już za pięć minut pierwsza!
- ON:** Zatrzymał mnie w biurze klient, który w żaden sposób nie mógł skończyć.
- ONA:** Rozumiem doskonale, ale to nie moja wina.
- ON:** Ależ tak, napewno, ale ja znowu nie mogłem, mimo wszystko, powiedzieć mu: „Proszę pana, moja żona czeka, niech pan przyjdzie kiedyindziej”.
- ONA:** Oczywiście. Ale przyznaj, że ja, jak wychodzę odwiedzić przyjaciółkę, to potrafię się tak urządzić, aby wrócić na czas!
- ON:** Tak jakby można wogóle to porównywać! Między pójściem na ploteczki, a sprawami interesów jest chyba pewna różnica!
- ONA:** Przynosisz z biura zawsze całe litanie różnych historyjek, które napewno nie mają nic wspólnego z twymi interesami. Wynikałoby z tego, że mężczyźni także lubią od czasu do czasu poplotkować.
- ON:** Zgoda, nie przeczę, kochanie. Ale zmieniasz przedmiot rozmowy! Fakt pozostanie faktem, że od czasu wojny nie jadłem jeszcze takiej podeszwy.
- ONA:** Zastanów się kochanie — befsztyk trochę zanadto wysuszony — to jeszcze nie dramat.
- ON:** Przepraszam, to ty robisz z tego dramat. Zresztą to ciębie mniej dotyka, bo masz wolne całe popołudnie na zajądanie ciastek u twoich przyjaciółek.
- ONA:** Rozumie się, że mam przyjaciółki, i to do tego takie, które nie mruczą i nie narzekają bez ustanku!
- ON:** Co przede wszystkim mnie gniewa, to gdy widzę, że marnuje się mięso wówczas, gdy tylu ludzi ginie wprost z głodu! Ostatecznie nie wiem, ale zdaje mi się, że jeśli nie jesteś pewna swej kucharki, to możnaby ją trochę kontrolować...
- ONA:** Wiesz dobrze, że Balbina odyma się, ile razy wejdę na jej podwórko.
- ON:** Ostatecznie, ja, widziałem zawsze, że moja matka dopilnowywała swojego pieca, a kucharka trzyma się u niej ta sama od dwudziestu lat.
- ONA:** Zamiast powoływać się na swoją matkę — która jest bardzo miła, to się rozumie — lepiejbyś zrobił, biorąc przykład ze swego ojca, którego nigdy nie słyszałam robiącego uwagi przy stole. Gdybyś, tak jak on, był zawsze w dobrym humorze...
- ON:** Zapewne z mniejszą mordęgą zarabia na życie, niż ja.
- ONA:** Czy może dlatego, że jest bardziej uprzejmy dla swoich klientów?
- ON:** A może dlatego jest bardziej uprzejmy, że może jest lepiej karmiony? Wszystkoby się zgadzało.
- ONA:** Wszystkoby się zgadzało, a właśnie, gdybyś mi dawał więcej pieniędzy na gospodarstwo...
- ON:** To wydawałabyś więcej na swoje ubranie — na tyle cię już znam! Stanowczo, tak... tak... wszystko się zgadza.
- ONA:** Przynajmniej o tyle mniej przegrywałbyś na wyścigach!
- ON:** Na wyścigach! 180 zł. w ostatnim miesiącu na nich wygrałem! Nie stanowczo pozwalasz sobie na przesadę...
- ONA:** Możliwe, że przesadzam, jeśli chodzi o wyścigi, ale...
- ON:** ...i jeśli ci się nie podoba...
- ONA:** Pewno, że nie. Ciekawam, co mi się tak ma podobać?
- ON:** ...to prosiłbym cię, abyś swoje uwagi zechciała zachowywać dla siebie.
- ONA:** Nikt mi jeszcze czegoś takiego dwa razy nie powtórzył!
- ON:** Co to znaczy „Nikt”?
- ONA:** Już ja wiem co mówię.
- ON:** Wzywam cię, abyś się wytłomaczyła!
- ONA:** Jeśliś jest za głupi, aby zrozumieć...
- ON:** O, jak mówisz o głupocie, to z pewnością wiesz co mówisz — jako że jesteś na swoim podwórku... (itd. itd.).

Więcej obiektywizmu, a mniej krytykowania wszystkich i wszystkiego!

A teraz, po przeczytaniu obydwóch rozmów, zastanówcie się nad tem, że prowadzili je ludzie, których poziom inteligencji i manier jest raczej wysoki, którzy nie są brutalni ani ordynarni. A jednak... Dlaczego się więc posprzeczały? — Prawie zawsze istnieje w dyskusji, która zamienia się w kłótnię, pewien punkt zwrotny, niebezpieczny — jakieś powiedzenie, czy aluzja, które stały się przyczyną sprzeczki, a których należało uniknąć. Ten, który pierwszy wprowadził w rozmowę krytyczny subiektywizm, ten jest winien — o tym można powiedzieć, że „on zaczął”.

W obu przytoczonych rozmowach istnieją takie momenty zwrotne, od których począwszy spokojny dialog przeradza się w coraz bardziej namiętną kłótnię. Wyszukanie tych momentów nie jest rzeczą bynajmniej łatwą. Zapraszamy grono naszych Czytelników do wypowiedzenia się i wskazania tych momentów w obu rozmowach. Odpowiedzi przyjmować będziemy do dnia 25-go września b. r. Wynik ankiety, oraz nasze osobiste zapatrywanie ogłosimy w najbliższym numerze po tej dacie.

Redakcja.

RYSUNKI: CHARLIE — KRAKÓW

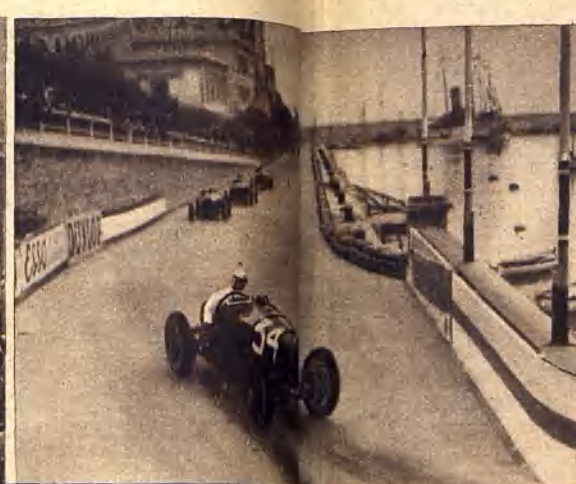




Droga wolna dla zwycięzcy oceanu!



Król jedzie!



Uwaga! Wyścig po ulice miasta!



Droga wolna! Wojsko maszeruje!



Stop! Teraz kolej na przechodniów!



Nieprzerwanym nurtem płynie ulicami wielkomiejskimi niby głębokimi jarami — wartki strumień pojazdów. Do późnej nocy miasto pulsuje ruchem. Arterje tętnią krwią żywą. Miasto żyje!

Nagle gwizd syreny wdarł się w huk ulicy.

Droga wolna! W kilku sekundach strumień uliczny krzepnie, nieruchomieje. Trzeba zrobić miejsce dla pojazdów uprzywilejowanych.

Oto jedzie przez ulice Nowego Jorku triumfator dnia jednego. Otoczył go rój motocykli policyjnych. Syreny pierwszego wozu torują drogę. Broadway należy w tych godzinach tylko do zwycięzcy. Wszyscy muszą mu ustąpić z drogi. Bohaterski lotnik jedzie na ratusz wśród oklasków, confetti i kwiatów. Jutro o nim zapomną... Może zginie potrącony przez cudzy wóz. Lecz dziś Broadway do niego należy...

Oto z pałacu królewskiego wyjechała karoca złotem olśniewająca. Król jedzie! Londyn szaleje z radości. Niech żyje król! Ruch uliczny zamarł. Królewska karoca przejeżdża pustymi ulicami. A przed chwilą tętniał tu ruch największego miasta Europy.

Przeciągły zew trąbki... jedzie straż pożarna... Gdzieś się pali. Trzeba zrobić miejsce na przejazd wozów, które spieszą na ratunek mienia ludzkiego.

Idzie wojsko... Droga wolna. Po obu stronach jezdni słał twardy mur tłumów, wiwatujących na cześć wojska. Gdy jutro gdzieś zapłonie granica — rozlegnie się gwizd syren alarmowych, oni pójdą pierwsi...

Idzie procesja... Rozsnuły się dymy kadzideł, na bruk ulicy pada kwiecie... słychać głosy dzwonów, rozkołysanych na wieżach miast. Ruch uliczny zamarł. Płynie ulicą skupiony tłum ludzi modlących się...

Staruszka chce przejść na drugą stronę ulicy. Jedno skinienie paleczki policjanta przecina niby nożyce taśmę ruchu ulicznego. Rozstąpiła się rzeka... Droga wolna... Wolna dla dzieci i starców...

To są chwile rzadkie, gdy uprzywilejowani zajmują ulice dla siebie.

Po kilku kwadransach — autobusy, taksówki, prywatne limuzyny, motocykle — obejmują znowu władzę nad swoją ulicą. Codzienny strumień ruchu ulicznego żłobi pracowicie swe koryto. Rzadkie są chwile uroczyste i wyjątkowe, gdy rzeka ruchu ulicznego — niby Morze Martwe — rozstępuje się, aby drogę uczynić wolną...

Na skrzyżowaniach ulic policjant regulujący ruch pojazdów jest małym dyktatorem na swoim odcinku. Jeden jego ruch wstrzymuje setki samochodów. Skinienie jego paleczki wstrzymuje limuzyny Morgana, Wanderbilta, Barbary Hutton... Ba... nawet samego premiera. Policjant, który wstrzymał samochód premiera jadącego nieprzepisową stroną — otrzymał pochwałę... Bo prawa ruchu ulicznego są niewzruszalne... Znają tylko nieliczne wyjątki. Mówiliśmy o tych wyjątkach właśnie. Poza nimi — niema już prawie uprzywilejowanych, dla których ulica powstrzymywała bieg swego życia codziennego.

DRUGA WOLNA!



Cisza! Procesja się zbliża!



Pali się! Straż pożarna jedzie!

Na zamku króla gór

Po wielu latach stanąłem znowu na zamku króla gór... Droga, którą odbyłem, była tym razem może dłuższa i bardziej uciążliwa, niż wówczas, gdy jako student żwawo maszerowałem w wesołej kompanii szlakami pionierów naszej turystyki w Tatrach. Zmęczony usiadłem pod wielkim wykrotem skalnym — wysoko, tuż pod powąłą z chmur, co leniwie rozpinały swe brudno-szare kotary nad kotliną Morskiego Oka. Zasłoniły mi one widok na najwyższe baszty tatrzańskiego zamczyska, za którymi przez lata podświadomie tęskniłem, a które dawno temu — w okresie młodzieńczych marzeń ujrzałem po raz pierwszy jako realne potwierdzenie dziwów, wyczarowanych opowiadaniami ojca i matki.

Wówczas żaden trud, czas, czy odległość nie odgrywały roli, gdy podszedłszy pod wyniosły szczyt zapragnęło się go osiągnąć, by potem rozkoszować się pełnią wrażeń, jakiej dostarcza turyście widok z niebotycznej turni.

I szło się bez pamięci w ten kraj zaczarowany — coraz dalej i dalej — jak przez olbrzymie komnaty starego zamczyska, które dawno, przed wiekami opuszczone przez mieszkańców, kryło za-

zdrośnie przed oczami intruzów skarby swej wspaniałej architektury.

Mijały lata... Legenda Tatr szła za mną i nie odstąpiła mnie nawet wówczas, gdy poddawałem się urokowi kujawskich nizin — gdy zadumany siadałem nad brzegiem Świtezi, lub kiedyindziej znów, gdy rozkoszowałem się słonym powiewem, idącym ku mnie z nad fal polskiego Bałtyku.

I wróciłem między wyniosłe szczyty, jak ptak, którego skrzydła na starość zawodzą. Chciałoby się wzlecieć w górę — jednym skokiem objąć grań od Krywania aż po Łomnicę — osiąść w gnieździe Lodowego — potem wrócić nad Wysoką, Rysy i Mieguszo-wieckie — musnąć skrzydłem taflę Rybiego Jeziora i zapaść na długo, długo w lasach ciemnosmreczyńskich.

Taki „lot“ pozostaje już w krainie marzeń. Trzeba się zadowolić wyjściem na dwie, trzy baszty i z ich wyniosłych murów pogonić choć wzrokiem po uroczyskach — tam, gdzie zostawiło się najmilsze chwile młodości.

Scott.

Powyżej: Masyw Wielkiej Wysokiej.



FOT.
A D A M
SZPERBER
KRAKÓW.

Na lewo: Na Zaworach (w głębi Krywań).

Na prawo: Pod Małym Lodowym.



Pióro i cygaro

KARTKI Z ŻYCIA PIERWSZYCH POSTĘPOWYCH POLEK

Współczesny ruch kobiecy nikogo nie dziwił, stał się zjawiskiem powszechnym i tak codziennym, że niemal już niedostrzegaliśmy. Kobieta XX wieku, składająca w najrozmaitszych dziedzinach życia egzaminy z dojrzałości umysłowej i duchowej, a także



Poniżej:
Ewa z Wendorffów
Felińska.

i po urodzeniu jedynego syna Adama wróciła na zawsze do Puław. Nieszczęśliwy wówczas stan polityczny Ojczyzny wywarł silny wpływ na atmosferę towarzyską pałacu; spoważniali i zamilkli jego rozbawieni mieszkancy; w ciszy i skupieniu przeżywali rodzice

Poniżej:
Eleonora z Gagatkiewiczów Ziemięcka.

Franciszek Kostrzewski: Ogród Saski w r. 1853.



wytrzymałości fizycznej, wywołuje już rzadko zdumienie i podziw dla swoich kwalifikacji, raczej oburzenie i obawy niektórych „panów stwórczenia“, patrzących ze zgrozą na tak pomyślny rozwój „kwestji kobiecej“. Zwłaszcza inwazja piór kobiecych w polskiej literaturze uważana jest za zjawisko nowe i niespotykane dotychczas: Kossak-Szczucką i Dąbrowską, Gojawczyńską i Nałkowską, Górską i Krzywicką uważa się naogół za inicjatorki kobiecego ruchu literackiego. — W najnowszych, ostatnich czasach są one istotnie twórczyniami na większą skalę, wyrazicielkami i propagatorkami pewnych aspektów i kierunków literackich, ale zasługę inicjatywy czasopiśmiennictwa kobiecego musimy przyznać innym niewiastom.

Powojenna emancypacja kobieca nie jest już właściwie „emancypacją“ w pierwotnym tego słowa znaczeniu — to już tylko rozwinęta na dużą skalę kontynuacja tego feministycznego ruchu, który ożywiony i podniecony przez sufrażystki angielskie w XIX wieku kwitnie i rozwija się tak znakomicie aż po dzień dzisiejszy.

Nie ulega wątpliwości, że istotnymi twórczyniami ruchu kobiecego w Polsce nie były już nawet te pierwsze „emancypantki“, które w połowie XIX wieku przy akompaniamentie szyderstw i pogardliwych okrzyków kolegów „pchały“ się na uniwersytety europejskie, ale te pierwsze autorki i pisar-

ki, które swem odważnym wystąpieniem na arenie literackiej torowały drogę kobiecej emancypacji naukowej i zawodowej. Sylwetki tych właściwych twórczyń ruchu kobiecego są dziś niestety tak mało znane, że warto przypomnieć bodaj w skrócie historię ich dążeń i wysiłków, tem więcej, że jako postacie oryginalne i indywidualne były one przez długie lata ub. stulecia „na ustach“ nie tylko całej Warszawy, ale całego polskiego świata kulturalnego. Działalność literacka tych swojego rodzaju „gwiazd“ życia towarzyskiego i niezwykła często na owe czasy ekscentryczność życia prywatnego była przyczyną różnych sensacyjnych plotek w ówczesnym high-lifie.

Zacznijmy od najstarszej i pierwszej autorki XIX w. Była nią ks. Marja Anna Wirtemberska, córka ks. Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Zanim wydała w r. 1816 swoją sentymentalną „Malwinę“ czyli „Domyślność serca“, wiele już przeszła i przecierpiała burz i zwątpień, zawodów i cierpień ta śmiała pisarka, wydająca w języku polskim na autentycznych faktach oparty, żaloszny romans swojego życia. Bystry umysł i wrażliwe serce młodzieńczej panienki kształtowała atmosfera arystokratycznego Trianon polskiego, jakim były naówczas rodzinne Puławy. Pałac ojca, ks. Adama, stanowił ognisko nauki, sztuki i literatury; w atmosferze teatru, muzyki i poezji poznawała życie przyszła autorka „Malwiny“, to życie, które jej przyniosło tyle gorzkości wbrew wszystkim młodzieńczym marzeniom. Typowe *marriage de raison* z ks. Ludwikiem Wirtemberskim, siostrzeńcem Fryderyka II, zakończyło jej krótkie dzieciństwo i beztroskie zabawy w salonach ojcowskiego pałacu. Jednak to małżeństwo z rozsądku, zawarte w myśl woli rodziców, której się księżniczka Marja nie zwykle była nigdy przeciwstawiać, nie przyniosło szczęścia rozmarzonemu sercu młodzieńckiej, bo 16-letniej mężatki. Skandaliczne hulanki męża i jego chwiejność polityczna wystawiały na ciężkie próby cierpliwość ks. Marji. Rozsądkiem też nie wszystko potrafiła sobie wytłumaczyć; zatem zerwała nieszczęśliwe węzły małżeńskie



i córka tragedję polityczną i rodzinną.

Nowy, patriotyczny wiew napełnił Puławy: ks. Adam chwytła za pióro i spisuje swoje myśli, księżna Izabela-matka buduje „Świątynię Sybilli“ i wydaje słynnego „Pielgrzyma z Dobromilu“, a córka pisze pierwszy po polsku romans, zatytułowany „Malwina“. Nie jest niczem innem ta sentymentalna opowieść, jak obrazem przeżyć małżeńskich samej ks. Marji. Sielankowość, nadzwyczajna cikliwość i płacliwość utworu — to wyraz epoki i modnego wtedy nawet wśród męskich piór „wertheryzmu“. Błada, osjaniczna Malwina nie wzbiła się ponad poziom przyjętego konwensansu literackiego, jednak kobiece pióro, nazwisko autorki, znanej w szerokich kołach towarzyskich, wywołało sensację i powszechny aplauz. Tak samo przychylnie przyjęło jej „Opowieści wiejskie dla ludu“ w r. 1818, po których wyczerpał się widocznie zapas natchnienia poetyckiego księżnej pani.

Gdy jednak dziś z perspektywy 122 lat patrzymy na jej „Domyślność serca“, nie możemy nie przyznać autorce tych zasług, które się jej istotnie należą jako prekursorce ruchu umysłowego wśród kobiet polskich i propagatorce języka polskiego w sfrancuziałem w jej oczach piśmiennictwie. Przykład jej pociągnął niebawem coraz liczniejsze kobiety, a ten ożywiony ruch nie pozostał bez wpływu na kształtowanie się życia

kulturalnego w Polsce.

Wysoki poziom arystokratycznych środowisk, nadmiar wolnego czasu sprzyjały szczególnie rozwinięciu talentów kobiecych, czego dowodem Elżbieta z Krasińskich Jaraczewska, również znana autorka z pierwszej połowy XIX w. Brak urody i pewna ułomność fizyczna utrudniały miłej i kulturalnej paninie zamążpójście. Zwróciła więc rychło całą swą uwagę i zainteresowania w kierunku nauki i religii. Skromna i poważna postanowiła szukać szczęścia w klasztorze, gdy nagle poznanie Adama Jaraczewskiego zmieniło bieg jej życia. Poślubne wizyty jednak, wyjazdy i t. d. męczyły wstążą i delikatną Elżbietę, zajęła się więc domem, filantropią i... literaturą. Oczywiście pierwsze próby zaczęły się od pisania pamiętnika, zawsze modnego w pewnym okresie życia. Właściwa twórczość Jaraczewskiej przypada na dojrzałe jej lata, kiedy myśli, pragnienia i uczucia skrytykowały się w umyśle i szukały ujścia w formie powieściowej. Duże zdolności i niezwykła pamięć przyczyniły się do obfitego dorobku literackiego w ciągu stosunkowo krótkiego, bo 3 lata trwającego okresu twórczości pisarskiej (1827—1830).

Napisała i wydała cztery duże dzieła: „Zofia i Emilia“, „Pierwsza młodość, pierwsze uczucia“, „Upominek dla dzieci czyli krótkie powieści moralne“ i „Wieczór adwentowy“. O niezwykłej łatwości pisarskiej autorki świadczą słowa jej brata, Józefa hr. Krasińskiego, który o ostatniej wymienionej książce mówi, że była napisana i poprawiona w ciągu dni 12. A jest to bądź co bądź dwutomowy utwór. Gdy przed śmiercią wzrok jej nie dopisywał, potrafiła dyktować po 12 godzin dziennie pisać za nią osobom, a sama „wtedy bywała w całym ogniu i zapale kompozycji“.

Niestety śmierć męża w Powstaniu Listopadowym zламаła tę niestrudzoną kobietę. Zmarła w Krakowie w r. 1832. Nazwali ją niektórzy słuszenie pierwszą emancypantką. Pomijając ocenę artystyczną jej utworów, trzeba podkreślić ich „bojowość“, niezwykłą na owe czasy. Mimo bowiem obfitości łez w swych książkach, była Elżbieta Jaraczewska zdecydowaną przeciwniczką sentymentalizmu w życiu i w literaturze. Podobnie jak czułościowość, tępiła konwenans, obłudę towarzyską i brak krytycyzmu u współczesnych sobie kobiet polskich. Zwolenniczka harmonijnej równowagi w myślach i uczuciach ceniła Jaraczewska w kobiecie ponad

wszystko słowność i poczucie obowiązku. A ponieważ przy tem domagała się wykształcenia i samodzielności oraz niezależności materialnej dla kobiet, trzeba jej przyznać niezwykłą na owe czasy śmiałość w kreśleniu programów wychowawczych. Jej ideały i poglądy, tak odbiegające od utartych, szablonych wzorów, czyniły z niej kobietę nieprzeciętną, a odwaga w głoszeniu swych przekonań upodabniała ją do późniejszych bojowniczek feminizmu kobiecego.

Aby ocenić w pełni „bojowość“ książek Jaraczewskiej, należałoby dokładnie poznać poziom życia ogółu kobiet polskich na przełomie XVIII i XIX w. Dobrem zwierciadłem tej „szarzyzny szlacheckiej“ są pamiętniki Ewy z Wendorffów Gerardowej Felińskiej (1793—1859). Nie była ona arystokratką, ale „taką sobie“ przeciętną polską szlachcianką, niemniej inteligentną i myślącą kobietą, wyrazicielką poziomu umysłowego i ideałów kobiet swego czasu. Nieliczna, ale oryginalna twórczość powieściowa tej rychło owdowiałej i 6-cioorgiem dzieci obciążonej autorki oparta jest właściwie na osobistych jej przeżyciach. Do literatury oprócz wrodzonej skłonności pchnęły 50-letnią Ewę Felińską przede wszystkim ciężkie warunki materialne i przykład dzieci, zarabiających na chleb malarstwem. Na zesłaniu w Saratowie rodzą się w niej (1843) pierwsze „Myśli o postępie ludzkości“, ogłoszone w Tygodniku Petersburskim pod pseudonimem Wenerandy Kokosz. Następnie wychodzą drukiem cztery powieści: „Siostrzenica i ciotka“, „Pan Deputat“, „Hersylja“ i „Pomyłka“. Odtworzyła w nich Ewa Felińska doskonale epokę swej młodości, jednak ani równać się nie mogła pod względem artystycznym z takimi mistrzami kompozycji powieściowych, do jakich już wówczas należał np. Ignacy Kraszewski. Łatwość pisania i bogactwo wspomnień nadawało się właściwie w sam raz do snucia pamiętników. W tym też kierunku rozwinęła się wkrótce działalność pani Ewy. Wileńskie „Ateneum“ ogłosiło drukiem „Wyjaski z dziennika Ewy Felińskiej“ oraz jej „Wspomnienia z podróży po Syberji“, które następnie wydano w całości i ogłoszono drukiem oraz przetłumaczono na język angielski. Duża poczytność skłoniła autorkę do ogłoszenia jeszcze 5 tomów „Pamiętników z życia“, po których wydaniu w r. 1859 zmarła zasłużona literatka.

Nie była wielkością ani nawet oryginalnością ta przedstawicielka kobiecego świata szlacheckiego w XIX w. W zakresie pa-

miętnikarstwa ma jednak pewne zasługi, które tem są większe, że była się tej pracy w podeszłym już wieku, nie jako zaśniedziała i zrezygnowana do życia bolejąca wdowa, ale jako energiczna i pełna inicjatywy kobieta. Zarabiając piórem na chleb, wskazywała drogę tysięcznym rzeszom kobiet.

Zupełnie innym człowiekiem była Julja Molińska Wojkowska. Niespokojna, nerwowa, oryginalna i bezkompromisowa, jednym słowem „dziwna“ panna Julja obrała sobie (a było to przed 100 laty!) nader śmiałą drogę wolnego związku małżeńskiego z ukochanym człowiekiem i to zgubiło przedwcześnie tę utalentowaną publicystkę. Jako dwudziestoletnia nauczycielka w rodzinnych stronach — w Poznaniu — cieszyła się ona dużą sympatją rodziców i wychowanek mimo ekstrawagancji manier i obyczajów, oraz zbyt afektowanego sposobu bycia. Rychło jednak stała się obiektem krytycznych plotek i obmów, zarówno dzięki ożywionej działalności literackiej, jak i przede wszystkim z powodu swobodnego bardzo trybu życia. Kulminacyjnym punktem zgorzienia, jakie wywołała młoda przelożona, było współżycie bez ślubu z Antonim Wojkowskim, redaktorem Tygodnika Literackiego w Poznaniu. On także zdolny pisarz, utalentowany muzyk, bogaty ziemianin, podobnie jak ukochana Julja nie liczył się z opinią publiczną. Co gorsze! swój liberalizm etyczny i radykalizm społeczny postanowili oboje propagować zapomocą pisma na szerszą skalę wśród społeczeństwa. Zapomnieli jednak o tem te dwie „dziwne i postrzelone“ głowy, że rewolucyjne ruchy rzadko mają w sobie cechy trwałości i powodzenia. Ich swoboda matrymonialna, wzorowana na zagranicznych stosunkach, wywołała odruch oburzenia ze strony społeczeństwa. Zakłócała w małym światku poznańskim, który jednomyślnie protestował przeciw nowatorskim ekstrawagancjom Wojkowskich. Zwinęła swą pensję Julja Molińska, upadł Tygodnik Literacki, na 10-tym zeszycie skończyło swą marną vegetację wydawane przez nich „Pismo dla nauczycieli ludu i dla ludu polskiego“, a także Gazeta Wielkopolska — tygodnik, który ukazał się zaledwie 17 razy. — Śmierć Ant. Wojkowskiego była ostateczną katastrofą duchową i materialną dla Julji Molińskiej. Złamała się nerwowo, popadła w obłąkanie, a po śmierci rodziców w Trzemesznie uciekłszy pewnej nocy do Wrocławia, zmarła tam w szpitalu w 1851 r.

Dokończenie na str. 24-tej.



Narcyza Zmichowska.



Maria z ks. Czartoryskich księżna Wirtemberska.



Elżbieta z hr. Krasińskich Jaraczewska.



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA”

IDEALNY MAŻ

PIOSENKA-KUPLET

SŁOWA I MUZYKA:
OLGA HAŁACZOWA

Mój mąż — to i-de-al, — gentleman w każdym ca-lu, ... przy-
 stoj-ny ... i wy-twór-ny — a wierny bez me-da-lu, — jest świat — nie zbu-do-wa-ny ... i do — bry się u-
 bie-ra, lu — bi te-atr, ki-no, gra w bry — dia i po-ke-ra. Choć chra — pie, lecz nie pi-je — za-
 du — zo nie pa-li, — na-wet na swą teś-cio-wą — też zbył-ko się nie za-li. Z my-mi przyja-ciół-

ka-mi dys-hret-nie się przy-jaźni, ... lecz ma coś ta-kie-go ... czem ... mnie sta-le drażni, bo:

Jak ja mówię „tak” to on mówi „nie”? Kiedy ja chce spać to on czytać chce. Jak ja czytać chce, to on w brydża grać.

Ja u-rządza-m brydża to on i-dzie spać. Ja bardzo lubię dzieci, on mówi krótko „nie”? Ja chwale Polskę A, on znowu Polskę C.

Ja ku-piłam psa to on ko-ta chce, na-tu-ral-nie pies z ko-tem ko-ty dwie wy-jeżdżam do Krynicy, on do Za-kopa-ne-go i

tak od siedmiu lat ach! Daję mu już te-go. Znajdę ra-dę lub o-twa-rzę wkrótce klub nie-szczęs-nych żon.

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

Po obiedzie przeszli do gabinetu.

Zapadli w głębokie fotele, osnuł się tęcza dymu i milczeli długą chwilę, rozkoszując się spokojem, wygodą i smakiem wytwornych papierosów. Zapachem gorącej, czarnej kawy.

Doktor pierwszy przerwał milczenie, nie przestając śledzić leniwych kółeczek dymu, wijącego się w powietrzu. Jakby wypowiadając głośno dalszy ciąg swych myśli, powiedział monotonnie, głębokim głosem:

— Chinka! Kobieta wschodu. Inna dusza, inna wiara, inne wnętrze. Inna skóra i postać i oczy i słowa. Niezbadała, kusząca, brzydka i cudowna. Męcząca. Upajająca jak haszysz, jak opjum, jak kokaina... Chinka!

Dym zrobił się ciemno niebieski i wzbił się płaską chmurą ku oknu.

Towarzysz doktora mały, niski mężczyzna o spalonej wiatrem morskim twarzy, poruszył się niecierpliwie w fotelu i mruknął niewyraźnie:

— Masz o czym myśleć! Niepotrzebnie ci wspominałem o tem. — Ale doktor był wi-
dać innego zdania.

— Powiedz mi coś więcej — odezwał się, przerywając głośno senne milczenie gabinetu — chciałbym wiedzieć coś więcej o tej... jak mówiłeś? Zapomniałem!

— Han-Su.

— Han-Su. Właśnie! I cóż? Kim była? Stara, młoda, ładna? No, opowiadaj! Słucham!

Był to nieomal rozkaz.

Niski człowieczek poruszył się niespokojnie, a widząc, że jednak będzie musiał ulec, zaczął wyrzucać z siebie słowa jeszcze niewyraźniej i jakby bardzo niechętnie.

— Naco ci to? To przecież ciebie nie a nic... ale jeżeli chcesz koniecznie!... Właściwie, to nie znałem jej, opowiadano mi tylko. No, widziałem ją raz... jeden raz! — Zdaleka! — Chrzakał niepewnie i urwał. Oczy mu się rozszerzyły jakimś dalekim wspomnieniem, pobliła trochę. Machnął ręką, jakby chciał odepchnąć ścisnąjącą go, niewygodną obręcz.

— Han-Su... Jak wiesz, Chinka. Jej młodość jest nieznana, nikt nie wie. A gdy wydano ją staremu Limowi, miała piętnaście lat, stała się najbogatszą kobietą w kraju. Żył w pałacu za miastem i już wtedy zaczęły krążyć opowieści, że ona... — zająknął się.

— Cóż do licha! — zniecierpliwiał się doktor — co ona?

— Mówiono... mówiono, że kto spojrzy w jej oczy, traci zmysły. Że ona urzeka, czaruje, upaja gorzej jak opjum, że człowiek traci wolę, siłę, przytomność...

— W rok potem stary Limo umarł, chociaż cieszył się zawsze doskonałym zdrowiem. Konając, rzucał się i krzyczał coś o jej oczach i o tem, że go zabiły... Ale przecież nikt rozsądny... w to nie uwierzył... — zakończył bardzo niepewnie.

— Cóż dalej? — mruknął doktor.

— No cóż? Stała się sławną, rozrywaną. W jej pałacu stała gromada gości, nie wyjeżdżała jednak nigdzie, i mimo obcowania z Europejczykami, pozostała Chinką. Ale były zabawy, przyjęcia, balet... Zawsze otoczona rojem mężczyzn wpatrzonych w nią, nieprzytomnych, pijanych jej oczami... Śmiała się z nich, drwiła Gnebiła ich i odpychała, jakby mszcząc się za niepopołnione winy. Aż raz — przyszedł jeden! Był malanzem, i widział w niej bardziej oryginalne piękno, niż kobietę. Nie dał się u-

sidlić jej oczom, a ona? Cóż! Pokochała go. Jego jednego, nareszcie! Chudła. Brzydła, oczy jej tylko zostały wkońcu z tej trójkątnej, jak z kości słoniowej twarzy. Taką ją wtedy widziałem... — dodał ciszej.

— A potem? — spytał doktor.

— Potem malarz namalował jej portret, który dzisiaj wzbudza sensację na wystawie, bawił u niej jeszcze tydzień i wyjechał nie żegnając się z nią nawet. Gdzie — nie wiadomo. Uciekł. Uciekł w porę przed jej oczami i miłością i zaszył się gdzieś w świecie. Zabrał jej portret, ale ofiarował go w bardzo krótkim czasie jakiemś muzeum, za śmiesznie niską cenę... byle nie widzieć jej więcej. Wyjeżdżał podobno chudy jak szczapa, i żółty na twarzy, z przerażeniami oczami, ale wyjechał.

— I nikt go więcej nie widział?

— Nikt. Był chory. Może umarł? Był, widzisz, z twarzy ogromnie podobny do ciebie, mój drogi!

— Co? — Doktor zerwał się nagle i prawie krzyknął to słowo. — Co ty mówisz, ja?!

— Ty, ty! — roześmiał się trochę złośliwie mały człowieczek. — Czemu cię to tak przeraża? Czy myślisz, że piękna Han-Su zemści się i przyjdzie do ciebie jako do sobowtóra? Nie, niema obawy! Nie przyjdzie. Umarła przecież trzy lata temu w swoim pałacu. Nie będzie chyba w tobie szukała swego niewiernego malarza!

— Śmieszny jesteś ze swoim „nie bój się“! Czego bym się bał? Zdziwiłem się przecież tylko...

— Ta-ak? Możliwe... A teraz pozwól, że cię pożegnają. Umówiłem się. I nie myśl za dużo o Han-Su! To niebezpieczne! Do widzenia!

Mały człowieczek wytoczył się z pokoju kołyszącym się krokiem marynarza. Na progu jeszcze odwrócił się i rzucił napół serjo, napół ironicznie:

— Han-Su nie wypuszczała łatwo ofiar z rąk! Ale nie bój się, nie bój... o, pardon! Już ide!

I drzwi zatrzęsły się za nim.

Cisza spadła nagle na pokój i przytłoczyła swym ciężarem doktora. Niespokojnie zaczął chodzić po gabinecie, potrącając o meble i nie widząc niczego wokół siebie. Zapadł mu dziwnie głęboko w mózg to imię obce, dalekie, niepokojące...

Han-su, Han-su, Han-su, skandowało serce, mówili kroki, szumiała krew. Ciężki, ciemny opar dyszący pożądaniem i niepokojem, dławiący do nieprzytomności, siedł od tego imienia i od myśli dziwnych, szalonych i nieopanowanych. Chodził coraz prędzej po pokoju jak dzikie zwierzę w zaciśniętej, bezlitosnej klatce, tam i z powrotem, od ścian do ścian. Nagle jakby tknięty ostrą myślą, ubrał się, wziął kapelusz i wyszedł.

Szedł machinalnie, roztrzącając ludzi, nie bardzo wiedząc, dokąd idzie. A jednak w jakiś czas później stał już przed bramą wystawy „Sztuki chińskiej“ i kupował bilet wejścia, witany niskimi ukłonami przez dyrektora, jako znany gość.

Przechodził z sali na salę powoli, hamując kroki i rozbiegany, szukający wzrok. Obojętnie patrzył na obrazy, przebiegał po nich spojrzeniem, nie widząc. Wiedziony jakimś nieomylnym instynktem szedł wprost do ostatniej sali, małej, zawieszanej paroma obrazami tylko.

Przystanął na progu. Był sam.

A nawprost, była ona. Han-su.

Wychylała się z ram portretu naturalnej wielkości, drobna, barwna w swym haftowanym pięknie kimonie.

Małeńkie, niby dziecinne nóżki, trochę zwrócone ku sobie wedle zwyczaju dawnych, chińskich dam, tkwiły w złotych pantofelkach o nieprawdopodobnie wysokim obcasie.

Ręce, lśniące ciemno-purpurowym lakierem paznokci, oparła o rzeźbiony misternie stolik, jakby niedbale. Twarz w obramowaniu czarnych, metalicznie lśniących włosów, była trójkątna, złocista, jakby prześwietlona od wewnątrz gorejącym płomieniem.

A potem były już tylko jej oczy.

Jak długo stał tak, zapatrzony w nie, nie wiedział. Minutę, czy dzień? Co znaczył czas i jego wszystkie sprawy wobec tych oczu ogromnych, niezbadanych, patrzących mu prosto w twarz?

Z pod opadniętych lekko, czarnych, długich rzęs, patrzyły tajemniczo, kuszące, zdradliwie, jak otchłań beznamiętnie czarne i bez dna. Otchłań, pociągająca ofiarę coraz bliżej, bliżej... Z okrutną radością śledziły jej niemoc i bezradność. Przykuwały myśli, rozdzierały serce, i duszę coraz głębiej i dalej, z jakąś dziką rozkoszą wypijając z mózgu myśli, krew, i siły...

Nie można było nie utonąć w nich. Nie można było nie zatracić się w nich bez ratunku. Stał tak i patrzył w oczy Han-su godzinę, czy dwie, czy może wieczność całą? Nie wiedział właściwie jak, i kiedy dostał się do domu. Zresztą czy to nie było wszystko jedno?

Tego dnia jeszcze kupił portret.

Zapłacił olbrzymią sumę, wykłócił się z dyrektorem, stoczył walkę z „Muzeum Sztuki Chińskiej“. I wreszcie zwyciężony, rozgorączkowany, niecierpliw, przyjął zdobywcę późnym wieczorem i zajął się odrazu zawieszeniem.

W dużym, ciemnym gabinecie sama jedna na całej ścianie zawisała Han-su, jak barwny motyl. Lśniła, niby żywa istota, zamknięta przemocą w ciężkie, złote ramy. Zakłęta chińska księżniczka, z trójkątną twarzyczką.

Przez całą noc przesiedział doktor na przeciwko niej zagłębiony w fotelu. Niemy, ogłuszony, jakby niepomny na nic.

Widział tylko jej oczy, i usta lśniące ciemną czerwonką, ciepłe, żywe...

W ciszy i ciemności wyłaniała się niepokojąco złota, matowa twarz. Han-su patrzyła wielkimi oczami i uwieczniała serce doktora węzłami silniejszych ponad wszystko. Zdawało mu się, że długie, wygięte rzęsy drżą. Potem uniosły się trochę... Tak, widział, drżały wyraźnie! Uniosł się napół z fotela, serce zamierało mu z nieprzytomnej radości. Unosił rzęsy!

Już widać coraz więcej ogromne, czarne źrenice. Patrzył. Z za drgającej firanki rzęs lśnią tajemniczo, błyskają jaśniejsze niż ognikami, po których czerni wydaje się jeszcze więcej otchłanna i bez dna. Oszołomiony, szczęśliwy, przerażony doktor tracił poczucie rzeczywistości. Nie wie już gdzie jest jawa, a gdzie zaczyna się ten sen, niesamowity, gorączkowy sen, który upaja jak opjum, jak haszysz... straszny i dziwny, danzący niepojętą, nerwową rozkoszą.

Patrz sobie długo w oczy.

On, Europejczyk, poważny, rozsądny

człowiek, żyjący dotychczas swym własnym spokojem i wygodnym życiem, bez specjalnych wstrząśnień i pożądań.

I ona, Han-su. Niedbale, kapryśnie uśmiechnięta, daleka i tajemnicza. Chinka o złotej, trójkątnej twarz.

Mijają długie, ciężkie, przytłoczone niesamowicie ciemnością chwile. Han-su żyje. Patrzy. Jej dziwna twarzyczka wśród ciemnego tła zdaje się nabierać z każdą minutą coraz więcej blasków i życia. Usta drżą. Czy mówi coś? Doktor nachyla się pożądlawie. Usłyszeć! Raz choćby usłyszeć jej głos!

I nagle zdaje mu się najwyraźniej, że z małych, zmysłowo wykrojonych ust słyszy ciche, najcichsze, wyszeptane czy wysnione:

— Ukochany! Ukochany! Odnalazłam cię!

A potem już wszystko wiruje w nieprzytomnym śnie. Świat zapada się w otchłań, wiruje przez chwilę jak złota kula, zamienia się w małą, wabiącą okrutnie twarz o złotej skórze, a potem ginie w nieprzebytej, nieogarniętej ciemności.

Zaczęły się dla doktora teraz dni dziwne, nierealne, męczące, jak koszmar, a pełne rozkoszy. Było to, jak powolne zapadanie się w cień i mrok, jak wieczne oszołomienie najmocniejszym narkotykiem. Doktor nie zdawał sobie sprawy, co się z nim dzieje. A może... nie chciał poprostu zrozumieć? Schudł, zmizerniał. Oczy mu się tylko paliły jak w wiecznej gorączce. Wargi były suche i popękane, masuwające bezwiednie myśl o jakichś szalonych, aż bolesnych pocałunkach. Gdy wracał ze szpitala, gdzie

pracował nieprzytomnie, jak w transie, szedł wprost do gabinetu, zabierając ze sobą zwykle flaszkę koniaku, i zapadał z uśmiechem wyzwolenia w fotel naprzeciwko portretu.

Jak najśłodszy opar opium otaczał go, brał w posiadanie czamny, bezdenne wzrok. Chłonał chciwie wszystkie siły żywotne, opłatał tysiącem niewidzialnych macek, wysysał krew, aż nie zostawało nic, prócz poczucia rozkoszy nieprzytomnej, bolesnej, duszącej. Han-su zabierała mu myśli, krew i siły. On tracił zdrowie i siłę, a jej dalekie obce oczy zdawały się z dnia na dzień nabierać więcej blasku i coraz wyraźniej żyć!

Kiedys przyszedł swym kołyszącym się krokiem marymarza mały, gruby człowieczek. Wtoczył się do pokoju i już od progu, wyciągając ręce, wołał głośno:

— Hallo! Co z tobą? Chory jesteś?

Doktor mamrotał coś niewyraźnie i niechętnie, podniósł się leniwie z fotela. Był zły, że mu przeszkadzają. Ale tamten, nie zważając na nie, rozsiadł się już wygodnie obok niego i opowiadał prędko, wesoło i rubasznie, śledząc uważnie z pod oka wyniszczoną, nieprzytomną twarz doktora. W pewnej chwili przypomniał sobie coś i wykrzyknął wesoło:

— A cóż Han-su? Czy pamiętasz jeszcze naszą rozmowę? Poszedłeś ją może oglądać? Tak podobny do przedmiotu jej marzeń powinien być...

Ale w tej chwili urwał gwałtownie i zniechęcony. Oczy jego padły na ścianę i cofnęły się szybko, przerażone, rozwarłe. —

Wstał i jękając się zdenerwowanie, wyrzucił ze siebie:

— Co... co to? Han-su?! Kupiłeś?

A gdy doktor uśmiechnął się tylko nieprzytomnie, nie mówiąc, chwycił go za ramiona i potrząsając nim mocno krzyczał prawie, zdenerwowany do ostateczności:

— Człowieku, co ty zrobił? Opamiętaj się! Wyrzuć ją zaraz, w tej chwili! Zbudź się na miłość Boską, bo inaczej... Nie zdajesz sobie sprawy...

Nie dokończył. Ze zgrozą i nienawiścią obrócił się ku portretowi i wygrażając mu zaciśniętą wściekle pięścią, krzyknął:

— Han-su! Ty żółta, podła zmijolo!

A potem wybiegł z pokoju, wymachując w szalonym gniewie rękami.

W miesiąc później w gazetach ukazała się wiadomość, że znany doktor X w swej willi nad morzem zaginął bez wieści.

Prawdopodobnie musiał zatonać, kąpiąc się przy dużej fali. Zwłaszcza, że ostatnio nie czuł się podobno zbyt dobrze. Wydał się wieczorem w kierunku morza i odtąd słuch o nim zaginął. Nikt go nie widział, a na piasku nie znaleziono żadnych śladów, prócz stóp doktora, no... i o kilka kroków przed nim, ślad dziwnie drobnych nóg, stąpających na nieprawdopodobnie wysokim obcasie, lekko zwróconych ku sobie...

Ale tego nie brano oczywiście pod uwagę.

„Zaginiony zostawił w swej willi nad morzem nieocenionej wartości portret damy chińskiej, który z niewiadomych powodów zabrał ze sobą z miasta na tak tragicznie zakończony urlop“.

Dokończenie ze strony 20-tej.

Była to niewątpliwie zdolna dziennikarka i literatka, ale swoboda życia prywatnego utrudniała jej ogromnie kontakt ze społeczeństwem. Pozostała po niej pieśń i dumki ludowe, elementarze, „nauki religijno-moralne“ i t. p. wskazują na żywy i błyskotliwy umysł; umiała jak mało kto wtedy „podchodzić“ do ludu. Narczyza Zmichowska uznawała ją za „jedyną, co umiała dla ludu o ludowych pisać sprawach“. Jako publicystka domagała się Julja Molińska dopuszczenia kobiet do życia publicznego, ale w takich granicach, któreby wykluczały rywalizację z mężczyznami. Nie głosiła właściwie żadnych radykalnych haseł i poglądów, szukała nowych dróg życia dla ówczesnej kobiety, a żądała sensacji i „nowości“ skierowała tę utalentowaną „emancypantkę“ na niefortunną drogę liberalizmu etycznego, co ostatecznie zламаło jej karierę literacką.

Zbliżając się do końca tego przeglądu wybitniejszych postaci kobiecych XIX wieku, wspomnieć jeszcze należy trzy pionierskie nazwiska kobiecego ruchu umysłowego, a to: Eleonory z Gagatkiewców Ziemięckiej, Pauliny Krakowowej i Narczyzy Zmichowskiej.

Pierwsza z nich, „kobieta w todze filozofa“, dowiodła własnym swym przykładem, że nawet poważne studia filozoficzno-społeczne mogą być dostępne kobiecie polskiej i to jeszcze wtedy, gdy zamknięte były przed nią bramy uniwersytetów, a książka była jej jedynym źródłem wiedzy i nauki. Wybitnie uzdolniona Eleonora jako 12-letnia panienka pisuje już artykułiki w „Dzienniku dla dzieci“ (1830), wydawanym przez St. Jachowicza, autora popularnych wierszyków („Pan kotek był chory“ i in.). Piętnaście lat mając, drukuje w Tygodniku polskim artykuły z dziedziny wychowania kobiecego, a w 16 r. życia wychodzi za mąż za utalentowanego malarza Ant. Ziemięckiego, z którym wyjeżdża na studia do Drezna. — Tu zwraca się jej umysł do ulubionych zagadnień społecznych, otwierając się przed nią rozległe horyzonty myśli profesorów niemieckich, których krytyką zajęła się po powrocie do kraju w „Zarysach filozofii ka-

tolickiej“. Poza tem wydała „Myśli o wychowaniu kobiet“, „Kurs nauk wyższych dla kobiet“, „Studia“ i „Powieści ludowe“. Nakreśliła również ciekawie krótki „Rys piśmiennictwa polskiego od r. 1830“. Redagowała i wydawała między r. 1841—1846 pismo „Pielgrzym“, a do r. 1842 opracowała w „Magazynie powszechnym“ kilkanaście ciekawych biografii sławnych poetów, artystów i uczonych. W kobiecym noworoczniku literackim, noszącym nazwę „Pierwiosnek“, drukowała Eleonora Ziemięcka szkice, poświęcone sztuce i kulturze niemieckiej. Sławna stała się w całej Polsce w r. 1842 dzięki rozprawie krytycznej na temat heglizmu i religii chrześcijańskiej. Umarła, opromieniona sławą „kobiety-filozofa“ w roku 1869.

Zasługą jej są niewątpliwie samodzielne badania w dziedzinie nauk filozoficzno-społecznych, które nie leżały zupełnie na linii zainteresowań ówczesnych kobiet polskich. Pracą na tem polu wskazywała Eleonora Ziemięcka nowe drogi rozwoju myśli kobiecej. Jej nieprzeciętna umysłowość każe ją już zaliczyć do elity intelektualnej warszawskiego towarzystwa, elity kobiecej, grupującej się przez 6 lat około wspomnianego już „Pierwiosnka“, a w latach 1842—1850 wokół grona „entuzjastek warszawskich“.

Rocznik literacki „Pierwiosnek“, wydany po raz pierwszy przez Paulinę z Radziejowskich Krakowową w r. 1838, zawierał na swych kartach wyłącznie utwory kobiecego pióra. Mniej lub więcej zdolne autorki, nie pozbawione talentu literackiego, w liczbie ponad 50, zabierały głos na jego łamach w obronie nowych haseł „emancypacyjnych“. Ponieważ jednak większość z nich należała do t. zw. starych panien, wyszczadzano całe wydawnictwo i ośmieszano w sposób satyryczny i złośliwy cały ten „ruch pierwiosnkowy“.

A jednak z grona jego wyszły pierwsze „entuzjastki“ z Narczyzą Zmichowską na czele, propagatorki nierzadko skrajnie pojętego feminizmu, ale przytem uzdolnione pisarki, kobiety pełne temperamentu i polotu poetyckiego, organizatorki kół literac-

kich i towarzyskich w Warszawie. One nadawały ton zatęchłemu i gnuśnemu życiu salonowemu stolicy, one organizowały ożywione dyskusje i wieczory, one popierały i popularyzowały z pomocą swoich piór ruch postępowy na łamach Przeglądu Naukowego.

Pierwsze miejsce wśród nich zajmowała „Gabriela“ (pseud. literacki Narczyzy Zmichowskiej), niezwykle utalentowana autorka „Pogadanki“ i „Książki pamiętek“, postać piękna i oryginalna, która zdobyła sobie trwałe imię na kartach literatury polskiej.

Z wielu innych członkiń koła „entuzjastek“ wspomnieć trzeba jeszcze Annę Skimborowiczową, w której salonie, zadymionym od fajek i cygar, odbywały się zacięte dyskusje emancypowanych „starych panien“ na tematy najbardziej śmiałe i postępowe.

Gdyby nie to nieszczęsne, zawsze wyśmiewane staropaniństwo, gdyby nie obcięte krótko włosy (skandal na owe czasy), gdyby nie cygara palone demonstracyjnie przez pierwsze emancypantki, możeby ruch kobiecy nie nabrał tak karykaturalnego odcienia, jaki posiadał w połowie XIX w.

Wysmagano go zato ostrym biczem satyry i drwin, wykpieno niemiliosternie w piśmie humorystycznych i brukowych, a jednak nie dano mu rady! Musiały w niem tkwić zdrowe i silne pierwiastki twórcze, skoro przetrwał wrogą sobie epokę, zwyciężył niechęć i „logiczną argumentację“ męskich przeciwników, a walkę o uznanie w kobiecie pełnowartościowego człowieka zakończył triumfalnym zwycięstwem idei emancypacyjnej.

Dziś, w okresie pełni praw politycznych i obywatelskich kobiet polskich, słusznym zdało mi się przypomnieć tych kilka pionierskich postaci kobiecego ruchu umysłowego i literackiego, których działalność w ub. stuleciu stanowiła niejako podwaliny dla tak bogatego współczesnego piśmiennictwa kobiecego w Polsce.

Mgr. Helena Bartoszek-Zastawniakowa.



fishing

ILUSTROWAŁ ALFRED ŻMUDA

Kiedy raz przed kilkunastu laty wymieniałem w fejetonie po nazwisku pewnego lekarza, jako rybaka, przybiegł on nazajutrz do mnie i zaczął mnie prosić na wszystkie świętości, abym nigdy tego więcej nie robił.

— Dlaczego? — zapytałem zdziwiony.

— Ano dlatego — odpowiedział — ponieważ jak się ludzie dowiedzą, że ryby łapie, to przestaną się u mnie leczyć. Bo w pojęciu ogólnym rybak, to ktoś niepoważny i nudny.

Od tego czasu dużo zmieniło się w Polsce. Powoli ludzie zaczynają rozumieć, że rybołówstwo muchowe, to sport wysokiej klasy, któremu zagranicą, a szczególnie w krajach anglosaskich oddaje się elita towarzyska. Mowa tu oczywiście nie o łowieniu ryb na glisty, czy na gruntówkę, ale o rybołówstwie muchowym, polegającym na tym, że jako przynętę używa się sztucznej muszki, to jest haczyka, imitującego jętki latające nad wodą i stanowiące największy przysmak dla łososia, pstrąga i lipienia.

Rybołówstwo muchowe, to przede wszystkim sport ruchowy. Rybak bowiem posuwa się krok za krokiem z prądem, rzucając za każdym razem muszkę, przymocowaną do długiej linki przebiegającej z kołowrotka poprzez pierścienie przelotowe wzdłuż całego wędziska. To wędzisko kosztuje niekiedy majątek, a przeciętna jego cena waha się od 100—300 złotych.

Angielki i Amerykanki uprawiają sport wędkarski z wielkim zamięłaniem. — Oto piękna rybaczka podbierająca szachnikiem złowionego pstrąga na jednej z rzek Kalifornii.

Do ekwipunku rybackiego, oprócz kilku wędek, należą także nieprzemakalne pończochy, czyli tak zwane wodery, umożliwiające chodzenie po wodzie bez obawy przemoczenia nóg. Na te wodery ubiera się dopiero buty turystyczne.

Rzucanie muchą jest sztuką nielada, a właściwie trudnym ćwiczeniem lekkoatletycznym, wymagającym ogromnej wprawy i opanowania techniki rzutu. To też Angielcy i Francuzi urządzą co roku międzynarodowe zawody w rzucaniu muchą, względnie obrotkiem. Zwycięzcą zostaje rybak, który rzuci najdalej i w najpiękniejszym stylu.

W Polsce rybołówstwo muchowe zaczęło uprawiać na szerszą skalę mniej więcej przed 50-ciu laty. Głównym propagatorem tego rybołówstwa był hr. Potocki z Kijowa i prof. Rozwadowski z Krakowa, a następnie b. premier prof. Julian Nowak.

Polska starsza rybacka skupiona jest w Polskim Towarzystwie Wędkarskim, dzierżawiącym Dunajec od źródła, aż po Tymanową. Coraz częściej na rewiry te, znane dobrze zagranicą, przyjeżdżają teraz cudzoziemcy, m. in. Angielcy.

W ostatnich czasach rybołówstwo pstrągowe zaczynają uprawiać także kobiety i to młode i ładne, a między innymi nawet artystki filmowe z Hollywood. Dowiedziały się bowiem, że chodzenie z wędką nad wodą uspokaja nerwy i przyczynia się do utrzymania linii. Pobyt zaś na świeżym powietrzu w okolicy górskiej wpływa doskonale na zdrowie i samopoczucie.

Może za tym przykładem dziewczęta z Hollywood pójdą i nasze panie i niebawem ujrzymy nad Dunajcem, czy nad Prutem piękne rybaczki, połujące na pstrągi.

Sezon pstrągowo-łososiovy zaczyna się na wiosnę, a kończy 15 września. Lipień zaś wolno łowić od 15 maja aż do późnej jesieni. Dla poprawy rybostanu uruchomiono wzdłuż całego Podkarpacia wylęgarnie ryb lososiołatych, produkujących rocznie miliony narybku.

Aby zbadać wędrówki łososia, odbywane z tarlisk do morza, rozpoczęto znakowanie t. zw. palczaków. Metoda ta dała rewelacyjne wyniki, opracowywane obecnie przez inż. Żarneckiego z Krakowa.

Jan Laukau.



Wygląd i sprawność naszych Stóp.

Poniżej od lewej: Pilnikiem zrównujemy paznokcie. — Nacieramy je sokiem wyciśniętym z cytryny. — Podnosząc chusteczkę z pomocą palców stopy ćwiczymy ich elastyczność.



Piękne, lekkie, wygimnastykowane nóżki, to ogromny atut życiowy. To podstawa dobrego samopoczucia, to jeden z najważniejszych postulatów zdrowia. Trzeba zatem koniecznie każdego dnia znaleźć dla ich pielęgnacji przynajmniej tyle czasu, ile go się poświęca staraniom o dobry wygląd twarzy i rąk. Na nogach spoczywa ciągle cały ciężar naszego ciała, tak przy chodzeniu, jak podczas stania, przy pracy czy zabawie, przy uprawianiu sportów czy tańca. Ogrom pracy, jaką nogi mają do wykonania, równowagę trzeba wielką o nie dbałością i raczej urwać coś z czasu, przeznaczanego na sen, aniżeli odmówić sobie codziennej kąpieli nóg, masażu czy nacierania, których skutki objawiają się wytrzymałością na skomplikowane czynności mięśni nóg.

Zabiegi pielęgnacyjne odnoszą się do mięśni, skóry i paznokci nóg. Aby mięśnie utrzymać w należytym, jędrnym stanie, unikamy zbyt gorących kąpieli, stosujemy ćwiczenia gimnastyczne, obejmujące pracę nie tylko uda i przedudzia, ale stopy i palców, o których często zupełnie się zapomina. Doskonałym ćwiczeniem dla usprawnienia palców jest podnoszenie z ziemi przy ich pomocy lekkich przedmiotów, jak chusteczka, kulka z papieru itp. Kto ćwiczeń tych nie uprawia, spostrzeże przy pierwszej próbie, że nie jest to rzecz tak łatwa, jakby się z pozoru wydawało. Aby dojść do perfekcji w tej dziedzinie, trzeba ćwiczyć palce nóg, zginając je i wyprostowując, przyczem zwracać należy uwagę na ich uniezależnianie się od siebie, aby poruszały się nie tylko wszystkie razem, ale oddzielnie, duży palec sam a inne wspólnie.

Taka gimnastyka palców poprawi w nich krążenie krwi i stanowić będzie jeden z środków, przeciwdziałających tworzeniu się nagniotków. Nagniotki — to plaga milionów kobiet, skutek używania zbyt ciasnych bucików, noszonych po całych dniach bez zwolnienia nogi ani na chwilę z ich oków. Całe szczęście, że jesteśmy na drodze do sta-

łego polepszania się fasonów trzewików i że przesąd o jak najmniejszej nóżce ma coraz mniej zwolenniczek w świecie kobiet. Dziś nie maltretuje się młodych dziewcząt, aby pomniejszać ich nóżki. Przyjęła się słusza zasada, że każda noga może być ładna, byle była zdrowa i należyście wypielęgnowana.

Mamy rozmaite sposoby pielęgnowania skóry na nogach, poczynając od zwyczajnej kąpieli codziennej. Rano i wieczorem stosujemy zmywanie nóg wystłą wodą. Nie obawiamy się takiej temperatury, pamiętając, że nogi przez cały rok są narażane na jej gwałtowne zmiany, więc zmywanie wodą wystłą zastąpić od czasu do czasu zmywaniem nóg wodą kolońską, lub spirytusem, trochę rozcieńczonym i zaperfumowanym kilkoma kroplami wody różanej lub lawendowej. Gdy nogi są szczególnie zmęczone, dobrze jest natrzeć je silnie po zdjęciu bucików spirytusem kamforowym.

Po osuszeniu nóg należy je zawsze lekko natrzeć jakimś neutralnym kremem, a następnie przypudrować lekko talkiem, pamiętając szczególnie o miejscach pomiędzy palcami, gdzie z powodu potu tworzą się, przy braku pielęgnacji, przykre odparzenia skóry. Profilaktyczne działanie talku jest jak najbardziej polecenia godne. Także i przeciwko odciskom stosować trzeba profilaktyczne środki. Można zaczątki odcisków usunąć z pomocą pumeksu, którego nie powinno brakować w żadnej łazience, w żadnej gotowni.

Domowym sposobem na usuwanie odcisków jest papka złożona z tartej kredy i tartego czosnku. Nakłada się ją codziennie na noc na odciski, a po kilku dniach twarda ich powłoka odpadnie. Pani, nie znosząca zapachu czosnku, może zastosować ziołowe okłady palców z Rojnika czerwonego (*Sempervivum tectorum*), Robi się z niego nalewkę, dając 2 części spirytusu, 2 cz. wody i 1 cz. soku rojnika. Po kilku dniach nalewka jest gotowa do użytku.

Kto jest już w tem nieszczęśliwym położeniu, że wskutek zaniedbań cierpi na nagniotki, lepiej nie usuwać ich własnoręcznie, lecz poddać się zabiegom specjalisty. — Także i obcinanie paznokci lepiej przeprowadzi osoba specjalnie w tym kierunku wykwalifikowana. Wykonując to sama, musi pani uważać, aby końce nie pozostały ostre i nie powodowały bolesnego wrastania w skórę. Unikniemy tego, spiliowując końce i wygładzając dokładnie brzeg paznokci. Skórkę, zarastającą paznokcie, trzeba delikatnie usuwać, a w razie potrzeby obciąć cieniutkimi nożyczkami. Same paznokcie dobrze jest od czasu do czasu nacierać sokiem z cytryny.

Wrastające paznokcie nie są nieuleczalne, ale trzeba im poświęcić naprawdę dużo codziennego czasu. Pod wrastający koniec trzeba delikatnie wsunąć codziennie kawałek czystej gazy, nasmarować obficie wazeliną borską i owinąć palec gazą, aby nie zadrażniła go nawet pończoszka. Po zdjęciu bucików gazę trzeba wyjąć, przemyć chore paznokcie wodą utlenioną i założyć watę z wazeliną. W razie tworzenia się rop w miejscu wrastania paznokcia trzeba po usunięciu jej watę stosować parę kropel kamfenu, który można otrzymać w każdej aptece.

Tak pielęgnowane paznokcie doprowadzi się po jakimś czasie do zupełnie normalnego stanu, ale nieodzownym warunkiem jest przytem noszenie specjalnie wygodnego obuwia, aby noga ani przez chwilę nie doznawała ucisku, zwłaszcza jej chore palce.

Powiadają niektórzy, że zdrowe nogi, to połowa zdrowia. Jest w tem tak wiele prawdy, że należy koniecznie wyznaczyć dla pielęgnacji nóg odpowiednie miejsce w rozkładzie codziennego dnia, nawet gdyby on był kompletnie przepełniony zajęciami zawodowymi. Wymaga też tego estetyka i kultura ciała, które tak triumfalnie wprowadziły kobietę o bosych nóżkach na plażę, a nawet na salę balową i do salonu.

Elwira.

Życie

TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

„NA FALI ETERU” – KOMEDJA MUZYCZNA W TEATRZE MALICKIEJ



Teatr Malickiej w Warszawie gra z dużym powodzeniem komedję muzyczną Pawła Leone'a „Na fali eteru” w adaptacji Leopolda Brodzińskiego, z muzyką polskiego kompozytora Jerzego Ławiny-Swiętochowskiego. Komedję wyreżyserował doskonale Roman Zawistowski, który zarazem odtwarza popisową rolę „małego Johana”. W szeregach wykonawców błyszczą wdziękiem, urodą i ele-

REWJA JANINY SMOLIŃSKIEJ



gancją: Ina Benita, Ewa Stojowska i Lusia Nestorówna. W rolach męskich występują: Igo Sym, Marjan Kiełański i in. Na zdjęciach powyżej: Jedna ze scen komedji w wykonaniu (od prawej) L. Nestorówny, I. Symy i M. Kiełańskiego. — Autorzy komedji (od lewej) Leopold Brodziński i Jerzy Ławina-Swiętochowski.

Fot. Forbert — Warszawa.

Znana polska tancerka i artystka filmowa Janina Smolińska organizuje w Paryżu pierwszy polski teatr rewjowy, który wystawi wielkie widowisko p. t.: „10 cud świata”. W rewji weźmie udział balet, w którym tańczą córki polskich emigrantów

w Paryżu. Dochód z imprez tego teatru zostanie przeznaczony na cele dobroczynne polskiej emigracji. Na zdjęciu: jedna ze scen baletowych p. t.: „Boginie w tańcu”.

Fot. F. Witezak — Paryż.

POLSCY MUZYCY ZAGRANICĄ



Wacław Niemezyk, profesor Polskiego Konserwatorium Muzycznego w Gdańsku, doskonały skrzypek i wytrawny muzyk, który koncertował niemal we wszystkich państwach europejskich, wystąpił ostatnio jako solista na koncercie symfonicznym w Sopotach, odnosząc wielki sukces artystyczny.



W szeregach polskich muzyków, którzy pracując zagranicą, zdobyli tam sobie wybitną pozycję artystyczną, znajduje się również utalentowany wirtuoz-pianista Aleksander Sienkiewicz, który prowadzi mistrzowską klasę w berlińskim Konserwatorium Muzycznym Klindworth-Scharwenka.

ŚLUB DZIENNIKARZA



Z końcem ubiegłego miesiąca pobłogosławiony został w kościele św. Trójcy w Warszawie związek małżeński pomiędzy młodą, utalentowaną poetką p. Zofją Kruszeńską, a p. mgr. Romanem Burzyńskim, współpracownikiem i korespondentem warszawskim Magazynu „As” i innych pism Koncernu „IKC”.



Słynne jest powiedzenie Dalekiego Wschodu, który poznał wszystkie mądrości świata — „Parasol noś i przy pogodzie”.

Zupełnie słusznie parasolka jako broń zaczepno-odporna może się przydać płci słabszej zarówno w dni deszczowe, jak i pogodne.

Parasolka w ręku słabej kobiety przemienia się często w narzędzie wymiaru sprawiedliwości. Jednakże przedmiot ten posiada też i inne zastosowanie.

Opowiadał mi naprzykład pewien znajomy, że parasol był jego swatem... W dni deszczowe wychodził z parasolem na ulicę i ilekroć dostrzegł jakąś osamotnioną piękność przemokłą do ostatniej nitki na deszczu — wtedy z miną pewnego siebie zdobywcy podchodził do upatrzonej ofiary i proponował jej swe ramię i parasol.

To było takie proste. Podchodziło się z miłym, zdobywczym uśmiechem i mówiło:

— Ach pani tak przemokła, czy mogę pani służyć parasolem?...

A często padała odpowiedź: — To już niech pan lepiej zwoła taksówkę...

Czasami nieznajome przyjmowały tylko parasol, a odrzucały ramię. Aż pewnego dnia parasol doprowadził mego nieznajomego — aż do ołtarza. Nieznajoma była mądrą kobietą i wykorzystała sytuację deszczową. Mój znajomy wpadł z... deszczu pod rymnę...

— I co się stało z tym parasolem? — pytam mego znajomego.

Przez parę miesięcy pieściłi-

Na lewo: Dwa modele impregnowanych jedwabnych płaszczy — pierwszy w drobną, stonowaną kratę szkocką, zapinany na dwie sprzączki — drugi w subtelną, jednotonową kratkę, z fałdami biegnącymi z przodu od kołnierza, a zakrywającymi zapięcie na guziki. ZDJĘCIA FOT. Dr P. WELLER.

Poniżej: Gdy deszcz pada portier wytwornego hotelu podprowadza jego mieszkańców do samochodu pod olbrzymim parasolem...



*Gdy
deszcz pada...*

śmy go jako nasze najdroższe wspomnienie. Przecież to on nas połączył. Stał na honorowym miejscu w przedpokoju... Był naszym prawdziwym przyjacielem domu... aż pewnego dnia...

— Co się stało pewnego dnia?...

— Złamał się... — jęknął mój przyjaciel.

— Sam...?

— Nie, żona złamała go na mnie, gdy późno wróciłem do domu...

Zadumaliśmy się obydwa nad znikomością pamiątek szczęścia na tym świecie.

W tym momencie właśnie radio zapowiadało odczyt o modzie jesiennej:

„Halo — halo — za chwilę nadamy państwu odczyt o szarudze jesiennej.

a właśnie jak na złość zacieka z boku lub z tyłu. Albo wichura odwróci z przekorną złośliwością parasol do góry i co tu robić z taką vis major! Wszystko przemaka do nitki i nawet pod nitkami.

Ale moda zna radę: Okrycia z impregnowanego płótna lub jedwabiu. Pod taką szeleszczącą skórą nie grozi przemoknięcie. Nowoczesna kobieta nie lubi zresztą przechadzek z parasolem, oczekającym wodą i kiwającym się na wszystkie strony pod naporem wiatru w zmęczonej ręce. Płaszcz lub cape impregnowany, lekkie buciczki deszczowe, kapiszon nasunięty na głowę lub na kapelusik — i deszcz jest bezsilny, a dalsza nawet przechadzka miła i odświeżająca or-

ganizm. A już na dalsze wycieczki samochodem, gdy miano barometru i komunikatów PIM mogą zająć najmniej pożądane niespodzianki atmosferyczne, okrycie impregnowane jest nieocenionym dobrodziejstwem. Zresztą to nie dawne niezgrabne szare płaszcze gumowe, ciężkie i nie-
twarzowe. Przemysł odzieżowy stworzył istne cacka, pozwalające na rozłożenie w pełni zalet kobiecej.

Panie, spacerujące podczas szarug w barwnych, przezroczystych celofanach, niebieskich, zielonych, czerwonych, żółtych, lub w szykownych płaszczykach z szeleszczącego impregnowanego jedwabiu w szkockie kraty lub stonowane prążki, — czyż to nie miły widok? Zamiast płaszczy wełnianych w kropki z błota po pełnym temperamencie zrywie auta, — zamiast kostiumów w dwóch tonach — ten ciemniejszy spowodowany dokładnym przemoczeniem — eleganckie, kpiące z deszczu i błota twarzowe okrycia impregnowane — czyż nie nadaje to ulicy schludnego i wielkomińskiego wyglądu?

— Wspaniale — zawołał mój przyjaciel. Już mi nie żal naszego starego parasola... Biegnę zaraz do sklepu po taki szykowny płaszczyk z szeleszczącego, impregnowanego jedwabiu w szkockie kraty...

— To się twoja żona ucieszy! — zawołałem...

— Żona?... Ach, tak! Byłbym zapomniawszy... i jej też muszę coś kupić... o, wiem, jej kupię parasolkę...

Gr. Mab.



Kto ma parasol, może czasem liczyć na powodzenie u pici pięknej...

Rysunki: Charlie, Kraków.



Powyżej: Sportowy męski fason płaszcza na deszcz kontrastuje z pełnym finazji i bogactwa krojem podobnego płaszcza, przeznaczonego wyłącznie na miasto.

Na prawo: Podczas dni deszczowych pląg przechodniów są pędzące po dziurawej jezdni pojazdy...

„Deszcz pado, deszcz rosi — splami kapelusik Zosi“ — mówi stara piosenka. Niestety — nie tylko kapelusik i nie tylko Zosi, ale natrętne strugi wilgoci grożą zniszczeniem toalety wszystkim przedstawicielkom płci pięknej, gdy na przełomie pory zimowej i wiosennej oraz letniej i jesiennej „uprze się i pada a pada“. Parasol, to czasem przystawowe wpadanie z deszczu pod rynnę. Nastawić go prosto,



Na prawo: Oryginalny płaszc z kapuzą z impregnowanego żółtego lub płaskowego jedwabiu, który wktada się chłodniejszą porą na kostjum.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka
obliczone na 3-4 osoby.

ZIELONA PAPRYKA FASZEROWANA. 5-6 dużych papryk parzy się wrzącą wodą i obciera z wierzchniej skórki; następnie wycina się szypułkę od spodu i wy-skrobuje ziarenka i włókna znajdujące się wewnątrz. Po dokładnem wypłukaniu jarzyny odstawia się ją na sicie, aby z wody osiakiła. Farsz do nadziewania: 8 dkg ryżu uduśzonego na sypko miesza się z kilkoma łyżkami mielonej pieczeni oraz sosem z pod pieczeni i jajkiem dobrze roztrzepanem. Po skontrolowaniu czy masa dość słona, napienia się nią wydrążone papryki, układa w rynce na podłożonym maśle, podlewa rosołem i dusi pod przykryciem. Osobno smaży się na łyżce masła małą utartą na tarle cebulkę oraz kilka pomidorów, a gdy te się rozgotują, dodaje się łyżkę maki, szczyptę soli i cukru, zagotowuje i przeciera wprost na papryki, które w tym sosie muszą się jeszcze przez około 15 minut dusić.

PULARDA Z GRZYBKAMI. Młoda pularde (może też być zwykła tłusta kura) dzieli się na części, posypuje solą i dusi wraz z podróbkami na maśle przez pół godziny. 10 dkg pieczarek lub innych grzybków kraje się cienko, dorzucza do mięsa i dusi pod przykryciem przez dalsze pół godziny. Gotową kurę wyklada się na półmisek, pozostałe grzybki zagęszcza się zasmażką i otacza nią mięso. Krokietki z bułki lub ryżu albo też ziemniaczki sto-sują się jako dodatek.

SZCZUPAK W SOSIE CHRZANOWYM. Obezszczonego i posolonego szczupaka piecze się na maśle w całości lub pokrajanego w dzwonka. Na dopieczeniu polewa się szczupaka osemką śmietany rozkluconą z paru łyżkami tartego chrzanu, który należy przed zmieszaniami ze śmietaną sparzyć wrzącą wodą i z niej wycisnąć, poczem wstawia się rybę ponownie do piecyka jeszcze na 10-15 minut. Rybę podać można z makaronem domowym, lub najcieńszym makaronem włoskim t. zw. spaghetti.

LEGOMINA Z JABŁEK. Ugotowane w wodzie z cukrem połówki jabłek, osacza się i układa w ogniotrwałem naczyniu szklanem lub porcelanowem. Na każdą połówkę kładzie się smażoną wiśnię lub malinę. Osobno uciera się (na 50 dkg jabłek) trzy żółtka z tłuź łyżkami cukru z otartą skórką cytrynową, dodaje pianę z 3 białek i 2 łyżki sypkiej maki. Masę tę wylewa się na przygotowane jabłka, wstawia na 10-15 minut tj. do zrumienienia do piecyka i podaje wraz z naczyniem owiniętem serwetą.

KNEDELKI MORELOWE Z DROŹDZOWEGO CIASTA. 50 dkg maki, 2 dkg drożdży rozpuszczonych w szklance letniego mleka, troszkę soli i cukru, pół filiżanki grysiku i łyżkę roztopionego masła wybija się na łgę ciasto, które postawione w cieple, ma wyrosnąć do podwójnej wielkości, co zwykle trwa godzinę. Następnie wyklada się ciasto na deskę (stolnicę), rozplaszczają, kraje na małe kawałki, w które się zawija po kawałku moreli w knedelki, odstawia się na pół godziny do wyrośnięcia, poczem się je rzuca na wrzącą wodę osoloną, gotuje z jednej strony przez 4 minuty, odwraca i gotuje dalsze 4 minuty. Przy pomocy dwóch widelców wyjmują się knedelki na półmisek, rozrywa je natychmiast, aby para z nich wyszła i nie powodowała opadnięcia ciasta. Smażoną bułeczką zmieszaną z cukrem i tłuczonymi ziarnkami pestek moreli posypuje się knedelki, polewa masłem i wy-dają szybko na stół. Dłuższe przetrzymywanie w kuchni po wyjęciu z wody nie jest wskazane. Oryginalny ten przepis z dobrej kuchni dawnego Wiednia, polecamy jako rzeczywiście dobry.

SZARLOTKA BISZKOPTOWA. Tyle maki, ile 3 jaja zaważą, cukru ile ważą 2 jaja i masła ile 1 jaje waży. Żółtko uciera się z masłem i cukrem oraz skórką startą z cytryny, potem dodaje się mąkę i pianę z trzech białek. Ciasto wlane do tortownicy piecze się szybko; po przestudzeniu nakłada się warstwę gęstej marmolady jabłecznej, przybiera z wierzchu czepek z piany ubitej z cukrem i zrumienia szybko w gorącym piecyku.

DOSKONAŁA MUSZTARDA POMIDOROWA. 1 duża cebula i 2 kg pomidorów rozgotowuje się bez dodatku wody -- należy więc pilnie mieszać, aby się nie przypa-lili. Po rozgotowaniu przetrzeć wszystko przez włosiane sito, dodać do przetartej masy: 15 dkg cukru, pół szklan-ki kremskiej musztardy, pół szklanki winnego octu, łyżeczkę soli, pół łyżeczki białego pieprzu i imbiru. Masę wlaną do naczynia kamiennego lub grubego emaljowanego bez żadnego uszkodzenia, które spowodowałyby zmianę koloru i smaku konserwy, gotuje się aż do zupełnego zgęstnienia, poczem napienia się nią małe słoiki, gdyż rozpoczęty otwarty słoik musi być szybko zużyty.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI

W GOSPODARSTWIE DOMOWYM



Przyjmując popołudniu gości na werandzie czy w ogrodzie, uraczymy ich prawdziwie, podając czarną kawę mrożoną z bitą śmietaną, do której dodatkiem będą drobne ciasteczka i t. p. Mocną czarną kawę zamraża się silnie w lodowni i sta-wia w kryształowej niskiej butelce na stole, z której nalewa się ją do szerokich pułkówek szklanych, przybierając każdy bitą kremówką z cukrem. Nie zapomnieć o słomkach!

7 + DNI + DOBREJ + GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 36		Sierpień		31 dni
NIEDZIELA	28		Chłodnik litewski. Móżdżek z jajami. Pularda z grzybka-mi. Szarlotka biszkoptowa. Kolacja: Pieczeń sarnia na zimno z sałatką.	
Augustyna	29		Zupa malinowa z grzankami. Kapusta w śmietanie. Nerków-ka z marchewką i groszkiem. Naleśniki z serem. Kolacja: Faszerowane papryki.	
PONIEDZ.	29	Ściecie św. Jana		
WTOREK	30	Róży z Limy	Rosół z kaszką. Kotlety jarzynowe z so-sem szczawiowym. Kurczę w papryce z klu=seczkami. Legomina z jabłęk. Kolacja: Pierożki z borówkami.	
ŚRODA	31	Rajmunda wyzn.	Borówczanka z grzankami. Budyń jarzynowy. Befszytki z sadzoną jajami i garnitu=rem z jarzyn. Sałatka z owoców i keksy. Kolacja: Grzybki w śmietanie.	
CZWARTEK	1	Idziego op.	Wrzesień Zupa pomidorowa czysta. Fasolka szparago=wa z masłem. Dziką kaczką z buraczkami. Gruszki pieczone w kruchem cieście. Kolacja: Pasztet z wątróbkami.	
PIĄTEK	2	Stefana	Zupa śmietanowa z koprem i perłówką. Płatki z duszoną kapustą. Szczupak w so-sie chrzanowym z makaronem. Knedelki drożdżowe z owocami. Kolacja: Wędzone ryby bałtyc=kie.	
SOBOTA	3	Szymona Sl.	Barszcz na rosole. Naleśniki z mięsem. Duszone kotlety wieprzowe z zieloną fasol=ką. Kompot. Kolacja: Kasza hreczana z kefirem.	



HOCKI-KLOCKI

W MAGAZYNIE Z OBUWIEM.



Klientka, wymierzywszy siarczysty policzek sprzedawcy:

— Ja kupuję buciki — a nie pończochy! („Esquire”)

Rozwiązania z Nru 34-go.

SZYBKÓŚĆ POCIAGÓW.

Pierwszy pociąg jechał z szybkością 105 km na godzinę, drugi 95 km/g. W ciągu drugiej godziny odwrótnie.

Dziadus poglądził długą siwą brodę, pyknął z krótkiej, czarnej fajeczki i powiedział, zastanawiając się nad każdym słowem:

— Widzisz, wnuku... Wchodzisz w świat. Mówisz, że będziesz bywał w domach ludzi, należących do „wyższych dziesięciu tysięcy”. Prosisz mnie, żebym udzielił ci kilku wskazówek, jak się masz u nich zachować... Słuchaj więc, mój wnuku...

Młody człowiek, nazwany przed chwilą dwukrotnie wnukiem, jak mówił poeci: „zamienił się w słuch”, a dziadus znów poglądził z godnością swą wspaniałą brodę, pyknął z fajeczki i zaczął lekcję dobrego tonu:

— Gdy zaproszą cię, powiedzmy, na godzinę ósmą wieczorem, nigdy nie należy się spieszyć. Nie jesteś przecież pociągiem pośpiesznym, żebyś musiał przyjść punktualnie co do minuty. Jeśli przyjdiesz kilka minut po dziewiątej, będzie w sam raz. Otworzy ci drzwi pokojówka. Wówczas należy uszczypnąć ją w policzek i powiedzieć niedbale:

— Jak się masz, mała.

Potem spoglądasz na buciki, a jeśli są zakurzone, możesz oczyścić je portjerą, albo płaszczem gospodarza domu. Powinno się jednak uważać, żeby nie używać do tego celu okryć gości, gdyż można mieć nieprzyjemność towarzyską. Następnie wchodzisz do salonu i już od progu wołasz: „A kuku! Jak się macie, pyski kochane! Co podłuchiwać?”. Odrzuć towarzystwo pozna, że humor nie jest dla ciebie obcą dziedziną. Potem podchodzisz do pani domu, obcierasz ostentacyjnie usta, mrugając

KOCHAJĄCE NARZECZONE.

Zosia pisała codziennie, Stefcia co dwa dni, Janka co 4 a Irka co 5 dni. Henryk otrzymał 14, Władysław 7, Karol 4, a Zygmunt 3 listy lub kartki.

NA POSIEDZENIU.

Na posiedzeniu było 40 mężczyzn i 54 kobiety.

ZADANIE SZACHOWE.

1: b3×c4+, W f4×c4, 2: e7—e8 goniec, K e5—d6, 3: Ga2×c4 mat, lub: 1: b3×c4+, K d5—d6, 2: e7—e8 wieża, K d5—c6, 3: W e8—e6 mat, lub: 1: b3×c4+, K d5—c6, 2: e7—e8 hetman+, jeśli K c6—b6, 3: H e8—b5 mat, jeśli 2...., K c6—d6, 3: G h2×f4 mat, lub: 1: b3×c4+, K d5—e6, 2: e7—e8 skoczek, dowolnie, 3: W h7—d5 mat.

Jest to, jak widzimy, jeden z bardzo oryginalnych problemów Amerykanina, W. A. Shinkmana.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PO BRIDGE'U.

Nasi znajomi Henryk, Władysław, Karol i Zygmunt grywali ze sobą raz na tydzień w bridge'a. Władysław miał przez cały miesiąc strasznego pecha. Z 19 rozegranych rozgrywek, tylko w ostatnim uzyskał 0 punktów, a wszystkie poprzednie przegrał.

Henryk wygrał 3 razy tyle punktów, ile rozgrywek, Karol i Zygmunt zainkasowali 3/4 przegranej Władysława, przyczem Karolowi przypadło 5 razy tyle co Zygmuntowi.

Ile wynosiły wygrane, jeśli umówiono się grać po groszu za „mały” punkt?

BRODACZE.

Typ brodatego pana zanika już w Europie. Na wczorajszym zebraniu 55% obecnych było zupełnie ogolonych, 57 1/2% nie miało wąsów, a tylko 4 panów miało wspaniałe (ale już siwe) brody.

Ilu panów było na zebraniu?

TAJEMNICE HIGH-LIFE'U.

LEKCJA BON TONU

HUMORESKA BOGDANA BRZEZIŃSKIEGO

przytem znacząco, jakbyś miał za chwilę ucałować się z tą damą — ale poprzestajesz narazie na ucałowaniu rączki. Wypada przy tej okazji coś powiedzieć, naprzykład:

— Dobrze mi wyglądasz, stara małpol Najwyżej wyglądasz na pięćdziesiątkę!

Po chwili możesz dodać swobodnie:

— Ale nie martw się, mamunciu, podobno jakiś amerykański pisarz — Papkin, czy Cypkin, bo już nie pamiętam — powiedział, że życie zaczyna się dopiero po czterdziestce... Wobec tego ma pani właściwie zaledwie 10 lat... Mała, idź spać do dzieciennego pokoju, bo już późno! He, he, he!

Salwa śmiechu będzie odpowiedzią na twój wyborny i subtelny dowcip.

Towarzyską rozmowę w salonie również należy zaprawić jednym dowcipem. Gdy jakiś starszy jegomość powie naprzykład, że choćby miał na głowie stanać, musi zdobyć rękę młodej, ukochanej kobiety, możesz wówczas odpowiedzieć z figlarnym uśmiechem:

— Oho, panie starszy, radzę nie stawać na głowie, bo może się pan poślizgnąć na łysinie!

Z salonu przejdziecie do jadalni.

Gdy oznajmia: „podano do stołu” — możesz zawołać wesoło:

— No, wreszcie! Teraz sobie, proszę pań-

PO ŚLUBIE.



— A tu jest nasza sypialnia, najdroższa... („Esquire”)

LICZBA KWADRATOWA I SZEŚCIENNA

Proponujemy Czytelnikom znaleźć najmniejszą liczbę, z której można wyciągnąć pierwiastek drugiego i trzeciego stopnia. Oczywiście najmniejszymi liczbami, spełniającymi wymagane warunki są 1 i 64. A która jest następna liczba?

stwa, coś smacznego wbijemy w krzyżę, a potem sobie potańczymy.

Przy stole należy zabawić sąsiadki i dbać, żeby stale miały jedzenie na talerzu i trunki w kieliszkach. Jeśli młoda dama, twoja sąsiadka, dziękuje za jedzenie, tłumacząc, że jest już syta, możesz powiedzieć niby półgłosem, ale tak, żeby wszyscy słyszeli:

— Co? Obawia się pani pokarmu?...

Rybę trzeba jeść nożem, aby dać dowód, że się nie jest przesadnym. Jedząc drób, najlepiej trzymać nieboszczkę kurę, lub kaczkę za nogę i obgryzać ociekające tłuszczem mięsko z lekkim glaniem, obcierając oczywiście palce w obrus. Dobrym żartem będzie, gdy przechylimy się przez stół i do siedzącej vis à vis damy zawołamy:

— O, pani dobrodziejka powalała się na gorsiel

A gdy dama skłoni siwą głowę, aby sprawdzić, czy tak jest w istocie, wówczas pociągamy ją szybko za nos, wołając:

— A to się babcia kiwnęła!

Dziadus przerwał, aby pyknąć kilka razy ze swej ulubionej czarnej fajeczki. Wnuk siedział zlekka pobladły, patrząc na dziadka z przerażeniem.

— Tak więc, mój wnuku — podjął znów dziadus — jeśli nie będziesz tak posłuszny, jak ci przed chwilą opowiadałem, możesz być pewny, że nikt ci nie zarzuci złego wychowania!

To rzekłszy, doświadczony dziadus z łagodnym uśmiechem poglądził swą długą, siwą brodę.

O tak! - to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NA SCENIE

I ESTRADZIE

Balet „Tanagra“, propagujący wyłącznie polskie tańce ludowe na tournée po kraju, występuje obecnie z wielkiem powodzeniem w Krakowie, na scenie „Domu Żołnierza“. Jego twórca i kierownik **p. T. Mateko** kształcił się w szkole baletowej Krzesińskiej, skąd wyniósł wysokie umiejętności taneczne. Wyruszył on potem w objazd po Europie. W Paryżu występował w wielkich teatrach rewiowych na czele własnego zespołu, zyskując wszędzie aplauz widowni i przychylne głosy francuskiej krytyki. Wróciwszy do kraju, zmienił zespół i dalszą pracę oparł na propagandzie tańców regionalnych. Balet „Tanagra“ występuje w wspaniałych kostiumach, wiernie opartych na wzorach kolbergowskich, imponujących bogactwem autentycznych, ludowych materiałów. Strona choreograficzna zespołu przedstawia się bez zarzutu.

NÓWE KSIĄŻKI

Pod tytułem „**Imago Poloniae**“ zasłużona księgarnia krakowska Marjana Krzyżanowskiego wydała w jubileuszowym roku Matejki, przepiękny album na bezdrzewnym papierze, wykonany starannym drukiem wkłesłym, przez doświadczoną artystyczną tłocznię, „Drukarnię Narodową“. Słowo wstępne obejmujące w syntetycznym skrócie życie i dzieła Jana Matejki, napisał dr Edward Łepkowski. Wielką zaletą wydawnictwa jest doskonały wybór ilustracji z najznakomitszych dzieł wielkiego malarza, oraz fragmentów z poszczególnych kompozycji, pozwalający rozkoszować się każdym kwadratowym centymetrem, w który włożył twórca ogrom malarskiej pracy. „Imago Poloniae“ stać się powinno najmilszym podarkiem w matejkowskim roku, nie tylko dla młodzieży, lecz dla miłośników talentu genialnego mistrza, których zastęp powiększa się, mimo napaści żywiołów wrogich polskiej kulturze artystycznej.

MDD.

TEATR W ETERZE

Wśród zagadnień teatralnych, rozważanych rok rocznie w Polsce przed nowym sezonem, rzadko kto zwraca uwagę, że prócz teatrów, do których uczęszczamy, a raczej winniśmy uczęszczać i prócz ich repertuarów, istnieje Teatr Wyobraźni, teatr, do którego

nie trzeba przychodzić, a który na odwrót, sam przychodzi do naszych mieszkań. Teatr Wyobraźni powstał jako swoista forma współpracy sztuki z techniką w miarę doskonalenia się radia — i oczywiście w miarę doskonalenia się wymagań słuchaczy w stosunku do radia — Teatr Wyobraźni rozwijał się coraz bardziej i znajdował swoje, sobie tylko właściwe, odrębne od teatru scenicznego oblicze.

Jeśli chodzi o Polski Teatr Wyobraźni — to nasza radjofonia zajmuje jedno z pierwszych miejsc na świecie. Zostało to stwierdzone wielokrotnie w opiniach przedstawicieli radjofonii zagranicznej — i dlatego mało kto wie o tem. Trudno rozdzielać zasługi na ten stan współczesnego Teatru Wyobraźni. Niewątpliwie zasługa

to doskonałego materiału aktorskiego, jaki udało się przyciągnąć do pracy przed mikrofonem, dobrych i umiejących odczuć potrzeby radia reżyserów, utalentowanych autorów, oraz ambicji samej radjofonii, która zdobyła się na odwagę, aby mierzyć siły na zamiary.

Każde słuchowisko Polskiego Radja — to rewja gwiazd pierwszej wielkości. Autor, aktor, reżyser i technik radjowy podają sobie ręce, aby stworzyć wartościową rzecz, która przecież nie trwa dłużej, niż pół godziny i, która rzadko kiedy jest powtarzana. A jednak ten wysiłek opłaca się, bo nie wszyscy mieszkają w Warszawie, czy innym mieście, które posiada teatr. Jeśli są słuchacze, dla których Teatr Wyobraźni stwarza nowe, inne wzruszenia, niż teatr na scenie, to w każdym razie dla nich słuchowisko jest tylko uzupełnieniem tego teatru, który skłonni jesteśmy nazywać prawdziwym. Ale dla całej reszty kraju Teatr Wyobraźni to nie „uzupełnienie“, to — wszystko. Tylko audycje Teatru Wyobraźni dają naszym małym miasteczkom i naszym wsiom magię teatru, tylko one pozwalają im odczuć piękno dramatycznego dialogu i cieszyć się życiem postaci, zrodzonych w wyobraźni autora, aby żyły w wyobraźni słuchacza.

Jest w Teatrze Wyobraźni i siła i słabość. Siła leży w potęgze słowa, które nigdy przed radjem nie miało tak licznej widowni, szacowanej na setki tysięcy osób, słabość w tem, że pozbawione feerii scenicznej wymaga większej, niż w teatrze uwagi ze strony słuchacza.

Możnaby sądzić, że radio stwarza nową warsztat twórczej pracy, o który u nas przecież nie jest łatwo, napotka na zachętę i współdziałanie. Tymczasem dzieje ostatnich kilku sezonów, to nieprzerwane pasmo starań o manuskrypty wśród autorów, przekonywanie reżyserów, przyzwyczajanie aktorów do mikrofonu itd. Kilka nacięć zebranych dyskusyjnych, na których trzeba było tłumaczyć, objaśniać, pokazywać, niemal agitować o zbliżenie się do radja i o współpracę. Ale trudy podjęte przez dyrekcję programową radja opłaciły się. Przecież nikt inny, a właśnie Teatr Wyobraźni zdobył się na śmiały zamiar nadania dla całej Polski całego Fredry. To już nie repertuar, to czyn kulturalny, godny najwyższej pochwały.

Oczywiście, słuchając radja, słuchając fragmentarycznie, nie zdają sobie sprawy, że w ciągu ostatniego roku na 394 słuchowisk, nadanych w Teatrze Wyobraźni, 336 słuchowisk napisanych było przez autorów polskich, a tylko 58 wyszło z pod piór obcych. I do tego jeszcze te obce słuchowiska, nadane przez Polskie Radio, to w najsłabszym stylu kompensacja, bo w zamian za nie udało się w kilkunastu radjofoniach zagranicznych zrealizować scenariusze polskiego Teatru Wyobraźni.

Nazwiska! Z koryfeuszów polskiego teatru prawie wszyscy: Bałucki, Bliziński, Fredro (ma razie nadano: „Pierwsza lepsza“, „Dożywocie“, „Śluby panieńskie“, „Damy i huzary“, „Pan Geldhab“, „Świeczka zgasa“, „Zręda i prze-

kora“, „Pan Jowialski“, „Koncert“, „Zemsta“ (Iwaszkiewicza), „Wakacje w Nohant“, które z przed mikrofonu poszły na scenę i świeciły tam kilkumiesięczne triumfy, Jasnorzeńska-Pawlikowska (cztery sztuki), Mickiewicz, Miłszewski („Pokłon za zwycięstwo“, „Bunt Absalona“), Moroziewicz-Szczepkowska, Norwid, Perzyński, Rittner („Wilki w nocy“, „Głupi Jakób“), Rostworowski, Słowacki, Staff, Syrokomla, Szaniawski, Szemplińska-Sobolewska, Trombecki, Tetmajer, Wyspiański, Żeromski — wyliczając alfabetycznie i tylko najważniejsze spośród trzystu nazwisk.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 28 sierpnia.

- 12.03 Poranek symfoniczny — pod dyr. Grzegorza Fitelberga.
- 16.30 „Stradivarius“ — komedia.
- 17.00 Recital Hermana von Beckera — wiola da gamba.
- 18.00 Podwieczorek przy mikrofonie: „Asy programowe“.
- 20.05 „Ottorino Respighi“ — koncert.
- 22.00 „Kominarz i młynarz“ czyli „Zwalanie się wieży“.

Poniedziałek, 29 sierpnia.

- 18.10 Karol Marja Weber: Warjacje klarnetowe.
- 19.05 Chór Kola Młodzieży „Siew“ z Krasienina.
- 21.10 Koncert rozrywkowy p. t. „Dookoła miłości“.
- 22.00 Pięć wieków dawnej muzyki, XII audycja.

Wtorek, 30 sierpnia.

- 16.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Salon. Rozgłośni Poznańskiej.
- 18.10 Recital Mieczysława Szaleckiego (altówka).
- 19.00 Recital śpiewaczy Stanisława Drabika.
- 22.20 Muzyka współczesna.

Środa, 31 sierpnia.

- 16.00 „Tak śpiewał Szalajpin“ — II-gi reportaż muzyczny.
- 18.10 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana.
- 19.00 Muzyka lekka. — Transmisja z Londynu.
- 21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu Zofji Rabecwiczowej.
- 22.00 Muzyka kameralna — „Od Haydna do Ravela“ (IX audycja).

Czwartek, 1 września.

- 16.00 Koncert solistów.
- 18.00 Muzyka skandynawska.
- 19.00 Z naszych pieśni — koncert Chóru Kolejarzy „Hasło“ — z Bydgoszczy.
- 22.00 Polska muzyka kameralna.

Piątek, 2 września.

- 16.00 Muzyka operetkowa.
- 19.00 Recital śpiewaczy Józefa Korolkiewicza.
- 19.30 „Radea Stronę na Wystawie Radjowej“ — koncert rozrywkowy.
- 22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota, 3 września.

- 16.45 „Wywczesy letnie dawniej, a dziś“ — feljeton.
- 18.10 Koncert solistów.
- 19.30 Koncert rozrywkowy.
- 22.00 Godzina niespodzianek.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materiałów Redakcja nie zwraca. Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doreczeniowego), a nie wprost do Administracji.